Milczenie słów. John Guzlowski i jego poezja.



John Guzlowski, fot. arch. autora.

John Guzlowski jest polsko-amerykańskim poetą, autorem trzech powieści, wykładowcą literatury angielskiej i amerykańskiej na Eastern Illinois University w Charleston (USA) oraz autorem prac z zakresu krytyki literackiej. Urodził się w roku 1948 w obozie dla uchodźców w Vinenbergu w Niemczech. Jego rodzice pracowali w nazistowskich Niemczech jako niewolnicy. Ojciec został schwytany w 1940 roku pod Poznaniem, a matka złapana w pobliżu jej domu na zachód od Lwowa i przewieziona do Niemiec w 1942 r. Obydwoje pracowali w obozach koncentracyjnych oraz fabrykach i gospodarstwach rolnych do końca wojny. Następnie znaleźli się w obozie dla uchodźców w Niemczech. W 1951 roku jako przesiedleńcy

przyjechali do Stanów Zjednoczonych z dwójką dzieci i zaczęli budować nowe życie w Chicago. Wiersze Johna Guzlowskiego dotykają bolesnych tematów z przeszłości rodziców i im podobnych poranionych przez wojnę i zapomnianych.

Język Mułów i inne wiersze to dwujęzyczny tom Johna Guzlowskiego, przetłumaczony przez poetę Bohdana Zadurę, mający dwa wydania – *Language of Mules*, Charleston, IL: DP Press, 1999 oraz *Język Mułów i inne wiersze*, Katowice, Biblioteka Śląska, 2002. Naziści określali koślawą niemczyznę przymusowych robotników w obozach językiem mułów, nie ludzi. Stąd tytuł tomu.

Czesław Miłosz, laureat Nagrody Nobla, w recenzji zbioru wierszy Johna Guzlowskiego „*Language of Mules*" napisał, że dzieło Guzlowskiego „zadziwiło" go i pokazało „wielką umiejętność uchwycenia rzeczywistości".

Poezje Johna Guzlowskiego były ponadto publikowane w *Writer's Almanac* Garrisona Keillora, *Rattle, Ontario Review, North American Review* i wielu innych pismach literackich w Stanach Zjednoczonych i za granicą. Jego wiersze i eseje o podłożu osobistym, pojawiają się też w publikacji p.t. *Echoes of Tattered Tongues: Memory Unfolded*, Los Angeles: Aquila Polonica Press, 2016.

Książka *Echoes of Tattered Tongues* została w 2017 roku uhonorowana nagrodami: *Benjamin Franklin Poetry Award* oraz *Eric Hoffer Foundation's Montaigne Award*.

John Guzlowski o swojej rodzinie i życiu pisze na blogu:

http://lightning-and-ashes.blogspot.com/

oprac. polskiej wersji notki biograficznej poety: Joanna Sokołowska-Gwizdka

DIPISI

> Przyszliśmy z ciężkimi walizami
>
> zrobionymi z desek przez braci
>
> których zostawiliśmy, przyszliśmy z Magdeburga,
>
> i Katowic, a przedtem
>
> ze Lwowa, prawdziwego domu naszej matki,

przyszliśmy z naszymi językami

w strzępach, z zębami w kieszeniach,

tulący tylko samych siebie, nasze ciała

sztywne jak przerażone ostrygi.

Byliśmy dziećmi w wełnianych szmatach,

które wymieszały się w szeregu do jedzenia lub modlitwy

lub żebrania o czyjeś miłosierdzie.

Pamiętając powietrze i drzewa,

niebo nad polskimi polami,

śniliśmy tylko o żywych czekających

> na nas w Chicago i St. Luis
>
> i Superiorze, Wisconsin
>
>
>
> jak centy
>
> w naszych ustach

przełożył Bohdan Zadura.

Z tomu „Język Mułów i inne wiersze”, Katowice, Biblioteka Śląska, 2002.

BÓG FAL

(God of the Waves)

Ale Bóg jest Bogiem fal i bałwanów, one są Jego również wtedy, gdy przewalają się nad nami; a my znów, raz jeszcze udowadniamy, że przytłaczająca nas siła nie przytłacza nas. Raz jeszcze, za jego wstawiennictwem, nadchodzi wyswobodzenie.

Zostaliśmy pogrążeni, ale nie zniszczeni.

Amy Wilson-Carmichael, chrześcijańska misjonarka z Indii

> Bóg pamięta ten zegarek
>
> mężczyzna miał go ze sobą gdy jego ręce
>
> bezgłośnie ginęły pod falami –
>
> cyferblat wiszący w ciemnościach
>
> jak porzucone okruchy gwiezdnego pyłu
>
> na smagającej czarnej wodzie.
>
>
>
> Czy człowiek ten błagał o coś,
>
> może zrywając pełne wody płuca
>
> wzywał Jego imię? Bóg chciałby

ale nie umie przypomnieć sobie.

Chwileczkę, jest wreszcie. To powraca

chłodnym przypływem pamięci, twardym

jak żwir, głębokim niczym płacz matki.

Bóg strząsa to z siebie, myśli

o czymś innym – oliwnym gaju nocą.

Będąc w Nazarecie jako chłopiec

ukochał ciszę świętych gwiazd

płynących strumieniami po Boskim niebie.

przełożył Henryk Cierniak

POLSKA

Nigdy jej nie zobaczą, ci starzy Polacy

którym stale śni się Polska. Kiedy byłem chłopcem

ojciec powiedział mi że ci którzy tego próbowali

w ’45 zostali zawróceni na granicy

przez bosonogich Rosjan w łachmanach

na kosmatych kucykach. Polacy uciekali przez lasy

ci którzy mieli pecha zostawali w tyle, martwi

albo co gorsza ranni, ci którzy mieli szczęście

wracali do swoich starych baraków w obozach

koncentracyjnych albo obozach pracy

w Gatersleben lub Wildflecken aby czekać

na jakiś cud który by ich przeniósł

do Poznania albo Katowic. Lecz Bóg

ich nie wysłuchał, a może miał ręce pełne

roboty gdzie indziej. Później, w Ameryce

ci Polacy spotykali się każdego roku

ze swoimi braćmi, a także swoimi afektowanymi

synami i córkami w święto Konstytucji 3 Maja,

aby się modlić w intencji flagi. Nie było wątpliwości

co znaczą te dwa kolory, czerwień wszystko to

co rodzi smutek, a biel to niewinność.

I zawsze te stare pieśni mówiące światu że

Polska nigdy nie zginie dopóki maki kwitną

czerwono, a ciało zdolne jest pokonać skałę i stal.

przełożył Feliks Netz

CZEGO NAUCZYŁA JĄ WOJNA

Moja matka nauczyła się, że seks jest zły,

Mężczyźni są nic nie warci, jest zawsze zimno

I nigdy nie ma dosyć jedzenia.

Nauczyła się, że jeśli masz dwie lewe

Ręce nie przeżyjesz

Zimy, nawet jeśli przeżyjesz jesień.

Nauczyła się, że tylko młodzi przeżywają

Obozy. Starzy zostają na kupie

Jak makulatura, a niemowlęta

są tak rzadkie jak kurczęta i chleb.

Nauczyła się, że świat jest niepewnym miejscem

Gdzie nie śpiewają ptaki i nawet anioły

Nie mogą unieść smutku, który daje im Bóg.

Nauczyła się, że nie należy się modlić

Aby wrogowie cię nie torturowali.

Modlić się trzeba o to, żeby cię nie zabili.

przełożył Bohdan Zadura

DOBRA ŚMIERĆ

Mój ojciec mówi

że kiedyś się nauczy

słuchać poloneza

a nie słyszeć Sikorskiego

lub Warszawy, głuchej fali

i kurzu niemieckich czołgów,

tylko Szopena,

jego zestroju czystych dźwięków

i precyzyjnego legato.

Jego sny będą

z oszronionych drzew,

opakowanych prezentów

w czerwonym pół-świetle,

z zapachu ciepłych szop

i dziewcząt dojących

czekające krowy.

Śnieg będzie padał

i znikał niezauważony.

przełożył Bohdan Zadura

KATYŃ

Nie ma tu żadnych Wielkich Murów,

Żadnych Wież pochyłych lub niepochyłych,

Ogłaszających sukces jakiegoś króla

Albo wyszydzających błąd innego,

Żadnej błyszczącej Duomo gdzie by można

Modlić się o przebaczenie lub patrzeć

Na koło cieni grających

W chłodzie dnia,

A wkrótce nawet nazwisk

Tych którzy umarli nikt nie będzie pamiętał

(Nazwisk takich jak Skrzypiński, Chmura,

Lub Antoni Milczarek)

Ich ostre głosy i szalona odwaga

Już przeminęły z wiatrem,

Ale ich prawdziwe pomniki

Zawsze tam będą, w pyle

I szarych popiołach i pagórkach

Wznoszących się nad ciałami, nad którymi

Nigdy nie wypowiedziano nawet słowa

I żadnej łzy nie uroniła płacząca matka

Lub drżąca siostra.

przełożył Bohdan Zadura

TO, O CZYM MOJA MATKA NIE CHCE ROZMAWIAĆ

Zaledwie siedemnastoletnia

z wiankiem kwiatów

we włosach

wraca

z pastwiska

pod lasem

gdzie krowy płyną

powoli

w mrocznej

chmurze kurzu

ciepłej i nieruchomej

jak sierpień

Znajduje swoją matkę

z przestrzelonym gardłem

odrąbane piersi siostry

w kurzu

obok stóp

martwe niemowlę

w kocu

To wszystko kończy się tam

nie w obozie

a tam

Spytaj ją

Machnie ręką

Powie jesteś głupcem

powie

jeśli dają ci jeść

jedz

jeśli biją

uciekaj

przełożył Bohdan Zadura

MELON

Kiedy patrzymy na melon błyszczący na stole

w porannym świetle, czemu nasze serca biją radośnie,

wyrywają się do niego tak właśnie, jak to robią? Czemu chcemy

naszkicować ten melon, zamknąć go w słowach

lub umieścić w krótkich melodycznych frazach?

Czasami, myślę, że robiąc tak, chcemy

w pewien sposób ten melon posiąść, nie w znaczeniu

kupienia, mam na myśli nie to,

lecz świadomość, że ten melon nie jest

częścią mnie, nie mnie, nie może być, w rzeczy samej, nigdy

bliżej mnie niż jest teraz,

w tej chwili, kiedy widzę go przed sobą

na stole jak mały świat, o którym śniłem

jako dziecko w piaskownicy snów,

i patrząc nań jak na ten świat, jestem przezeń wciągnięty

posiadany przez niego tak pewnie jak wiosna

bierze wzgórze, rozpuszczając je aż zima

przestaje znaczyć cokolwiek w jego życiu, aż skóra

jego utraconych liści jest niczym. Wówczas staję się

melonem, istnieję tylko po to aby podziwiać

jego piękno, jego lepką białą skórę i chłodną słodycz

jego Betlejem i Golgotę, istnieję tylko po to by podziwiać jego

odrębność i widzieć samego siebie jako jego część,

nigdy bliżej niego niż teraz, nigdy bardziej wolny

niż teraz z mego własnego miejsca czaszek.

przełożył Bohdan Zadura

Poeta zapomniany. Część II.

Historia wydań i opinii na temat największego eposu narodowego Chile „Araukany” dotyczącego walk hiszpańskich Konkwistadorów z plemieniem Mapuchów, mieszkającym na terenach obecnego Chile, napisana przez tłumacza epopei na język polski – Czesława Ratkę.



Płaskorzeźba przedstawiająca Alonso de Ercilla y Zúñiga, autorstwa Wiliama Blake'a, ok. 1800 r., Manchester City Gallery.

Czesław Ratka

Popularność *Araukany* w Hiszpanii za życia jej autora była nadzwyczajna. W ciągu trzydziestu lat od jej pierwszego wydania w roku 1569 ukazało się w Madrycie, Salamance, Antwerpii (wówczas należącej do Hiszpanii), Saragossie, Lizbonie, Barcelonie i Perpignan siedemnaście wydań tego eposu[1]. Szybko znalazł on naśladowców i stał się inspiracją dla innych twórców nie tylko w gatunku poezji epickiej, ale i w romancy oraz w teatrze. A że dobre dzieła rozpowszechniane przez liczne

wydania były zwykle szybko tłumaczone na inne języki, należałoby oczekiwać, że wkrótce zaczną się pojawiać także przekłady *Araukany*. Tymczasem, zanim do tego doszło, z początkiem XVII wieku ta ogromna początkowo popularność zamiera nagle i niespodziewanie na dwa stulecia (w ciągu dwustu następnych lat ukaże się w Hiszpanii zaledwie pięć wydań). Trudno się spodziewać, by w tej sytuacji zagraniczny odbiorca miał na nią zwrócić uwagę. Wprawdzie w roku 1619 została przełożona na język holenderski[2] (co nie powinno dziwić, skoro Niderlandy za panowania Karola V zostały dołączone do Królestwa Hiszpanii), nie decydowały tu jednak względy literackie. Był to zbiór krótkich wyjątków z trzydziestu trzech pieśni, przełożonych prozą, które holenderski tłumacz potraktował jako zachętę dla swoich ziomków eksploratorów (którym udało się już znaleźć drogę na Pacyfik wokół przylądka Horn) do podboju obfitujących w złoto ziem nie opanowanych przez Hiszpanów. Świadczy o tym już tytuł książki: *Rzetelne opisy narodów Chile i Arauko oraz innych krain obfitujących w złoto, a także wojen, jakie ich mieszkańcy prowadzili przeciwko Hiszpanom*[3].

Przekład ten nie wpłynął na popularyzację *Araukany*, bo też nie takie były intencje tłumacza. Co prawda po tematykę araukańską, czerpiąc z teatru hiszpańskiego, zaczęli dość wcześnie sięgać dramaturdzy francuscy, ale były to zaledwie różne formy adaptacji poematu Ercilli dalekie od jego oryginalnej

formy. Dopiero pod koniec XVIII pojawią się fragmentaryczne zrazu przekłady francuskie i angielskie – ważne, gdyż wraz z nimi pokażą się także jego pierwsze uczciwe omówienia dokonywane przez tłumaczy, dostarczające dowodów, że to naprawdę wartościowe dzieło. Po serii przekładów częściowych powstaną wreszcie tłumaczenia pełne. Pierwszy całościowy przekład na język angielski ukaże się w roku 1808 (William Hayley), na niemiecki w roku 1831 (E. M. Winterling), a na francuski w roku 1869 (Alexandre Nicolás). Do roku 1968 liczba wydań *Araukany* urośnie do siedemdziesięciu czterech[4].

Skąd jednak ta dwuwiekowa przerwa? Ośmielę się postawić tezę, że jej przyczyną nie był obrót koła Fortuny, jak często Ercilla poucza nas w *Araukanie*, ale publikacja przez Cristobala Suareza de Figueroa księgi o dokonaniach Garcii Hurtado de Mendoza, jego mecenasa, niegdysiejszego gubernatora Chile; tak się bowiem składa, że spadek popularności *Araukany* zbiega się mniej więcej w czasie z datą pojawienia się pomówień szkalujących poetę (rok 1613) zamieszczonych w tej biografii. Antonio de Sancha, osiemnastowieczny wydawca *Araukany*, w *Przedmowie* do swego wydania wylicza je w taki sposób:

> Suárez de Figueroa wytyka Ercilli trzy wady: 1° – że w swojej Araukanie pominął milczeniem don Garcię Hurtado de Mendoza; 2° – że owo milczenie wynikało z jego

> niewdzięcznego serca, zobowiązanego przecież wieloma łaskami, jakie uzyskał z jego ręki; 3° – że jego historia okazała się niewiarygodna.

Po lekturze epopei wiemy, że zarzuty te są nieprawdziwe. W czasie, gdy Suárez pisał biografię Mendozy, Ercilla, zmarły kilkanaście lat wcześniej, uchodził za jednego z największych poetów Hiszpanii; *Araukana* cieszyła się powodzeniem, a jej tematykę podejmowali inni twórcy w różnych gatunkach literackich. Nie wiemy, czy doktorem Suarezem kierowały jakieś prywatne motywy i osobista niechęć do poety i nie chcemy wiedzieć, przynajmniej ja nie chcę. Jeśli tak było, to winien on zdawać sobie sprawę, że jako autorowi biografii swego chlebodawcy nie przystoi mu uprawiać własnej polityki między jej wierszami. Ponadto winien rozumieć, że kto próbuje psuć reputację zmarłych za pomocą oszczerstw, psuje przede wszystkim swoją własną, a rozpowszechniając kłamstwa o innych, niweczy wiarygodność swego pisarstwa w ogóle. Jak by nie było, ziarno nieprawdy zostało zasiane, wykiełkowało, a roślinka zaczęła owocować…



Członkowie plemienia Mapuchów, fot. Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej w Chile.

Sto dwadzieścia lat później do kłamstw Suareza dorzucił swoje trzy grosze o *Araukanie* i jej autorze oświecony Voltaire (w *Essai sur la poésie épique* wydrukowanym w formie dodatku do jego poematu *Henriade*), a sława jego nazwiska sprawiła, że cytowano go bezkrytycznie, mimo że już w drugim zdaniu swojego *Eseju* mija się on z prawdą, gdy pisze, że Ercilla brał udział w hiszpańskim szturmie na francuską twierdzę Saint-Quentin, w Pikardii, w północnej Francji, choć wiadomo z *Araukany*, że był on w tym czasie w Chile (bitwę, owszem, oglądał, ale we śnie i dzięki interwencji Bellony). Błąd ten jest wielce znaczący, gdyż pokazuje (jak i dalsza treść *Eseju*), że Voltaire *Araukany* nie czytał! Już William Hayley, angielski tłumacz dzieła Ercilli, zwrócił na to uwagę; mimo to opinia publiczna wolała powtarzać

bezpodstawne osądy opiniotwórczego Francuza. Voltaire poświęca cztery piąte swojego *Eseju* zachwytom nad zdolnościami pisarskimi Ercilli, którego wychwala ponad Homera, by w pozostałej jednej piątej zaprzeczyć wszystkiemu, co mówił wcześniej, gdy pisze:

> Prawdą jest, że jeśli w pewnym miejscu Alonzo wybija się nad Homera, to w całej reszcie jest poniżej najmarniejszego z poetów. Dziwimy się widząc, jak nisko upada po osiągnięciu tak wysokiego lotu. W bitwach jest niewątpliwie dużo ognia, lecz żadnej inwencji, żadnego planu; brak zróżnicowania w opisach, brak jednolitości w formie. Ten epos jest dzikszy niż nacje, o których opowiada. Pod koniec dzieła autor, będący jednym z jego głównych bohaterów, w nocy, w trakcie długiego i nudnego przemarszu z grupą żołnierzy, chcąc wypełnić czymś czas, wszczyna dysputę na temat Wergiliusza, a zwłaszcza epizodu Dydony. Alonzo korzysta z okazji, by podyskutować z żołnierzami o okolicznościach śmierci Dydony, takich, jak je opisują starożytni historycy; a aby skuteczniej skorygować wersję Wergiliusza i przywrócić królowej Kartaginy jej dobre imię, zabawia się w rozprawianie o tym przez całe dwie pieśni. Zresztą kompozycja trzydziestu sześciu bardzo długich pieśni to wcale niemała wada jego eposu. Zdaje się, nie bez racji, że pisarz, który nie zatrzymuje się lub nie chce tego

> zrobić, nie powinien oddawać się takiej profesji.
>
> Tak duża liczba wad nie przeszkodziła sławnemu Miguelowi Cervantesowi w stwierdzeniu, że Araukana może być porównywana z najlepszymi poematami włoskimi. Ów fałszywy osąd podyktowała hiszpańskiemu twórcy zapewne ślepa miłość ojczyzny. Prawdziwe i solidne umiłowanie ojczyzny to praca dla jej dobra i obrona jej wolności na tyle, na ile jest to możliwe: zaś wszczynanie sporów dla wspierania jedynie autorów własnej nacji, przechwalanie się, że ma się lepszych poetów niż sąsiedzi, to raczej głupia miłość własna aniżeli ukochanie swojego kraju.
>
> (Przekład z francuskiego – Anna Rucińska).

Od tej więc pory dwie ekspertyzy: oszczercza i nierzetelna, obie bezczelne, miały decydować o dalszych losach epopei poety-konkwistadora. Niewątpliwie osiągały zamierzony cel – odstręczały potencjalnych czytelników i tłumaczy od sięgania po podobno zmyśloną historię stworzoną przez człowieka o nie najlepszej reputacji.



Pedro de Valdivia, jeden z hiszpańskich Konkwistadorów w Chile, za czasów autora „Araukany”.

Jeśli ktoś uważa, że przesadzam z nadawaniem tak wielkiego znaczenia jakimś pojedynczym publikacjom i że zapomnienia *Araukany*, najokrutniejszego wyroku dla Ercilli, nie należy wiązać z krążącymi wszędzie insynuacjami pod jego adresem – jeśli sądzi, że publikowane wymysły powinno się traktować raczej jako mało znaczące anegdoty z jego życia – niech raczy zwrócić uwagę, że w roku 1776, sto sześćdziesiąt lat po ukazaniu się książki Suareza, Antonio de Sancha, pisząc *Przedmowę* do

swego wydania *Araukany*, widzi potrzebę poruszenia w niej tych z pozoru anegdotycznych kwestii: przedstawia życiorys poety, a następnie zajmuje się jedynie problemem pomówień Suareza. Zapewne nie podnosiłby tych spraw, gdyby były mało ważne i gdyby nie były rozpowszechnione. Solidne dwutomowe wydanie Sanchy – rzetelne przygotowanie tekstu, dodanie miedziorytu przedstawiającego Ercillę i po raz pierwszy sztychów ilustrujących sceny z epopei oraz rozkładanej mapy specjalnie w tym celu sporządzonej przez królewskiego geografa, wreszcie skórzana oprawa ze złoceniami – musiało zaskoczyć elitę kulturalną tamtego okresu i obudzić w niej ciekawość poznania dzieła. Nie widać tego wprawdzie w pogrążonej w głębokim kryzysie Hiszpanii, ale w innych krajach stosunek do epopei zaczyna ulegać zmianie.

W Hiszpanii starania Sanchy o przywrócenie dobrego imienia Ercilli były, jak się zdaje, bezowocne, gdyż komentatorzy dzieła Ercilli jeszcze długo powtarzali krzywdzące opinie Suareza, choć z czasem w coraz łagodniejszej formie. Dopiero u współczesnych nam hiszpańskich badaczy literatury, jak Isaías Lerner, chwast nieprawdy jest wreszcie wypleniony do cna. Po czterystu latach!

Polska praktycznie nie miała kontaktów z Hiszpanią ani w czasach Ercilli, ani przez kilka następnych stuleci – jeśli nie liczyć sporadycznych wizyt dyplomatycznych lub bardzo nielicznych prywatnych. Język hiszpański był u nas nieznany.

Dzieła hiszpańskich pisarzy docierały do Polaków z dużym opóźnieniem, z początku za pośrednictwem ich przekładów francuskich; na przykład pierwszy polski przekład *Don Kichota*, z roku 1786, został oparty na jego tłumaczeniu francuskim[5]. Pierwsze szersze informacje o *Araukanie* dotarły do Polski nie z Hiszpanii ani z Francji, ale z odległego Chile. Stało się to dzięki książce Ignacego Domeyki *Araucania y sus habitantes*, która przełożona z języka hiszpańskiego na polski ukazała się w Wilnie w roku 1860[6]. Autor przekładu i *Wstępu*, Leonard Rettel (używający pseudonimu Jan Zamostowski), przyjaciel Mickiewicza, osiadły w Paryżu po powstaniu listopadowym, tłumacz literatury hiszpańskiej i działacz emigracyjny barwną polszczyzną przedstawia polskiemu czytelnikowi streszczenie *Araukany* oraz dane o jej autorze w wersji, w jakiej zapewne krążyły wówczas w jego paryskim otoczeniu[7]. W ten sposób, chcąc nie chcąc, przeszczepia opinie Suareza i Voltaire'a (a także inne bajkowe historie) do świadomości Polaków, w której tkwią do dziś. Ignacy Domeyko, który zwiedził Arauko jako enklawę wolnych wciąż w tamtym czasie Indian na terenie Chile, wspominał *Araukanę,* zachwycał się nią i wielokrotnie cytował jej fragmenty w innej swojej książce, *Moje podróże*[8]; jej czytelnik nie miał, niestety, możliwości zapoznania się z chilijskim eposem. Nieznajomość dzieła Ercilli sprzyjała utrwaleniu się zafałszowanych opinii z przeszłości, a także kiełkowaniu ich fantastycznych odrośli. Dziś, w demokratycznym Internecie bez trudu znajdziemy wiele zmyślonych historii na ten temat. Nie

będę ich tu przytaczał, aby się nie przyjęły, gdyż trudno je potem wykorzenić.



Społeczność plemienia Mapuchów, fot. Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej w Chile.

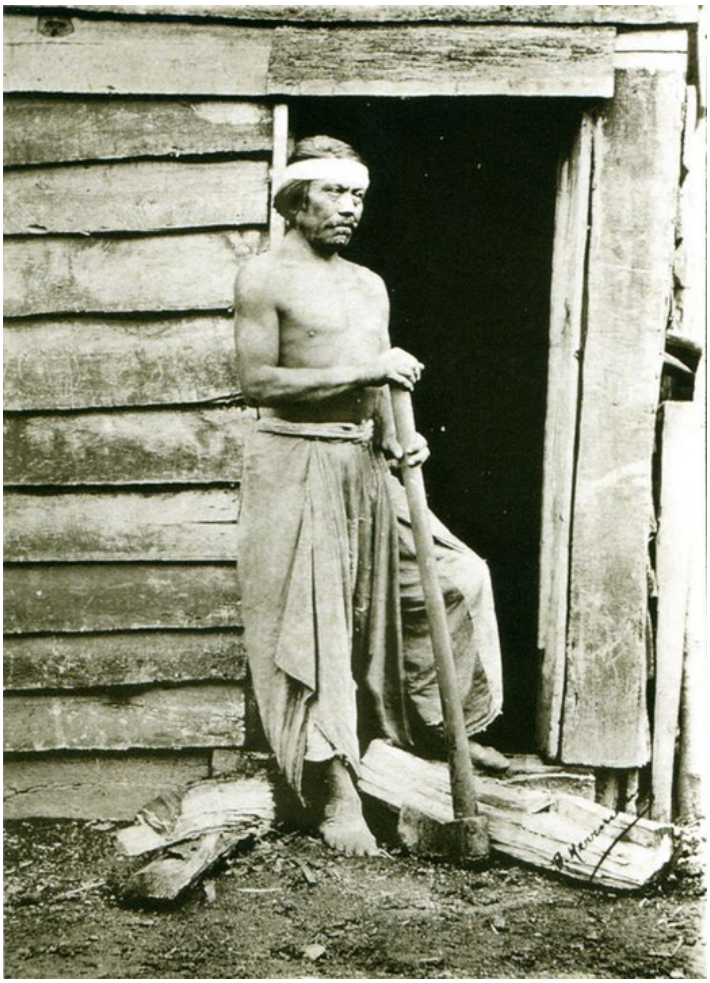
Jest rzeczą zdumiewającą, że tendencyjne opinie zaledwie dwóch nieprzychylnie nastawionych osób z odległej przeszłości mogły tak skutecznie i na tak długo zepchnąć *Araukanę* w niebyt. Jeszcze bardziej niezrozumiałe jest to, że te osobliwości spotyka się i u dzisiejszych autorów piszących o Ercilli. Powie ktoś, że i ja przecież je powtarzam, ba, mało tego, nawet je cytuję; esej Voltaire’a zamieszczam w swoim *Posłowiu* w całości. Owszem,

zamieszczam, by każdy, zanim będzie rozgłaszał zdania z niego wyjęte, mógł się z nim zapoznać, a kończąc jego lekturę, mógł sobie zadać, jak ja, pytania: Jak to, i to wszystko? To już koniec? Tylko tyle? A przecież miał to być esej o poezji epickiej! Co w takim razie autor eseju sądzi o literackiej stronie omawianego eposu? Dlaczego nie wspomni słowem o bogactwie językowym, o różnorodności środków wyrazu, o figurach stylistycznych, o wspaniałych opisach postaci, krajobrazu, zjawisk przyrody, o plastycznych opisach walk? Dlaczego nie przytoczy przykładów licznych sentencji, złotych myśli, rad, refleksji autora? Czemu nie dostrzega rozbudowanych, zaskakujących czytelnika przenośni, porównań? Czemu nie widzi humoru w epopei czy zabawnej gry słów? Czemu nie odniesie się do jej wierności normom klasycznym i nie wypowie na temat jej renesansowego charakteru? Czy nie robią na nim wrażenia bogate wyliczenia, powtórzenia intensyfikujące lub łagodzące bieg narracji, budujące nastrój i ożywiające rygorystyczny schemat oktawy? Czy nie budzi jego podziwu umiejętność wplecenia w treść oktawy kilkunastu (a rekordowo dwudziestu trzech) imion własnych?

Potwierdza się podejrzenie, że Voltaire nie czytał *Araukany* i znał tylko niektóre jej epizody – prawdopodobnie z opowiadania innych osób. Nie przeszkadza mu to bynajmniej w ferowaniu autorytatywnych wyroków, gdyż ma jedynie ochotę dopiec Hiszpanowi Ercilli, a przy okazji i Cervantesowi.

Każdy czytelnik krytyki Voltaire'a zdziwi się, jak ja, że to przecież wcale nie jest esej o poezji epickiej. Voltaire porównuje treść i konstrukcję wypowiedzi jednego z bohaterów *Araukany*, Kolokola, z treścią i konstrukcją mowy Nestora w *Iliadzie* i stwierdza, rozpatrując logikę ich wywodów, że Ercilla jest lepszym poetą niż Homer. Ocenia Ercillę i Homera tak, jakby byli autorami traktatów filozoficznych, a nie poezji; ocenia trafność ich argumentacji i zasadność ich rozumowania, a nie styl, w jakim się wypowiadają! Nie mam ochoty odnosić się do kategorycznych wyroków padających w końcowej części *Eseju* – powiem jedynie zdanie na temat, który tak zdenerwował jego autora: Dydona. Rzeczywiście opowieść o Dydonie jest długa, ale nie zajmuje dwóch pieśni, jak twierdzi krytyk, a połowę pieśni XXXII i połowę XXXIII. Gdyby Voltaire przeczytał uważnie część drugą *Araukany*, napotkałby tam Bellonę i Saint-Quentin, i turecką inwazję na Cypr i Maltę, i czarnoksiężnika Fitona, i Lepanto, i atlas świata, a w każdej pieśni spotykałby Marsa lub Fortunę. Czy i wtedy reagowałby tak ostro tylko na Dydonę? A może zechciałby pójść jeszcze dalej – jak zrobi chilijski wydawca poematu Ercilli, Abraham König, który w swym wydaniu w roku 1888 usunie z *Araukany* wszystkie epizody niearaukańskie, chcąc tym sposobem stworzyć jednolitą treściowo epopeję narodową Chilijczyków. Przekonałby się wtedy, tak jak przekona się König, że czytelnicy wolą ją w wersji, jaką zaproponował Ercilla. Ja, nie zastanawiając się nad tym, czy mi się obecność Dydony w poemacie podoba, czy nie, będąc człowiekiem tolerancyjnym,

akceptuję decyzje autora działającego w ramach estetyki renesansowej – dla której nawiązywanie do przykładów antycznych stanowiło imperatyw lub okazję do popisania się erudycją – bo nie mnie to oceniać. A swoją drogą historia Dydony jest napisana dobrze i ciekawie, zaś logiczne argumenty Ercilli podejmującego dyskusję z Wergiliuszem powinny się Voltaire'owi podobać (gdyby je przeczytał).



Mężczyzna z plemienia Mapuchów, fot. Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej w Chile.



Kobieta z plemienia Mapuchów z dzieckiem, fot. Muzeum Sztuki Prekolumbijskiej w Chile.

Może Czytelnik będzie zaskoczony, że w podsumowaniu swej siedmioletniej pracy nad przekładem *Araukany* zająłem się zaledwie jednym, wąskim, a dla niektórych pewnie mało istotnym zagadnieniem, tym bardziej, że przy obecnym stanie wiedzy o tej epopei i jej autorze w Polsce mamy wiele do nadrobienia. Otóż ja, zamiast się rzucać do naprawiania od razu wszystkiego, postanowiłem zająć się na początek przynajmniej jednym, najważniejszym – przywróceniem dobrego imienia Ercilli, który, objawiając w swych pięknych strofach kunszt poetycki, wrażliwość i humanizm, godzien jest naszego szacunku i

zachwytu. Nie wiem, czy mi się to uda, ale przynajmniej próbuję. Analizę literacką dzieła pozostawiam specjalistom, a ocenę mojego przekładu – Czytelnikom.

Fragment „Posłowia” z trzeciego tomu”Araukany”

Czesław Ratka na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/poeta-zapomniany-czesc-i/

http://www.cultureave.com/witaj-swiecie/

---

[1] *La Araucana: de Alonso de Ercilla y Zúñiga; ilustrada con grabados, documentos, notas históricas y bibliográficas y una biografía del autor: Ilustraciones I, autor publikacji: José Toribio Medina,* Imprenta Elzeveriana, Santiago de Chile 1917; *Ilustración X – Bibliografía de La Araucana.*

Wydanie internetowe: Biblioteca Virtual Miguel de Cervantes, Alicante 2007:

http://www.cervantesvirtual.com./obra/la-araucana-ilustraciones–0/

[2] Medina, dz. cyt., *Ilustraciones II*, Santiago de Chile 1918; *Ilustración XXII – Traductores de La Araucana.*

Wydanie dostępne w Internecie: Biblioteca Virtual Miguel de Cervantes, Alicante 2007:

http://www.cervantesvirtual.com/obra/la-araucana-ilustraciones-ii–0/

[3] Przekład własny z hiszpańskojęzycznej wersji tytułu podanej przez Medinę (tamże).

[4] Alonso de Ercilla, *La Araucana*, oprac. I. Lerner, Cátedra, Madrid 2005, str. 55.

[5] Wojciech Charchalis we wstępie do swego tłumaczenia *Don Kichota* (Miguel de Cervantes, *Przemyślny szlachcic Don Kichot z Manczy*, Rebis, Poznań 2014, str. 41).

[6] Ignacy Domeyko, *Araukania i jéj mieszkańcy: wspomnienia z podróży po południowych prowincyach rzeczypospolitéj chilijskiéj*. Nakładem Biblioteki Kórnickiej, Wilno 1860.

[7] Przekład Rettela wraz z jego *Wstępem* jest dostępny w Internecie na stronie Cyfrowej Biblioteki Narodowej: http://www.polona.pl/dlibra/doccontent2?id=21594

[8] I. Domeyko, *Moje podróże t. II*, Ossolineum, Wrocław – Warszawa – Kraków 1963.

Lwowiak Jan Chmieliński spod Gór Księżycowych – obecny i nieobecny w polskim Londynie

Nina Taylor-Terlecka

Syn aktora Józefa Chmielińskiego, uczeń c.k. gimnazjum III im. Franciszka Józefa, absolwent UJK, dyplomata, który odbył

wieloletnią służbę w konsulacie R.P. w Paryżu. Jako nastolatek pisał duży poemat w duchu Verhaerena, nieco starszy przełożył *Zwiastowanie* Claudela. Wiele tłumaczył z francuskiego, wiele napisał też własnych wierszy, choć nie wybiły się one ponad przeciętność. Potem tłumaczył polską poezję na francuski, był też pierwszym tłumaczem Kazimierza Wierzyńskiego na francuski. W konsulacie nadsekwańskim napisał szopkę, za którą można by go zwolnić na zawsze ze stanowiska MSZ. Ewakuowany wraz z ministerstwem we wrześniu 1939 r., jechał przez Rumunię, Turcję, Palestynę, aż do Ugandy, gdzie był konsulem R.P. w okresie, gdy przebywali tam uratowani zesłańcy z Gułagu. Po zamknięciu placówki dyplomatycznej w 1945 r. przekazał godło Orła Białego w ręce księcia Eustachego Sapiehy na wieloletnie przechowanie. Stając *en vis à vis du rien* zaciągnął pożyczkę i zakupił sobie 500 akrów ziemi w starym królestwie Toro, zasadził krzewy herbaciane i kawowe, i starał się utrzymywać z plantacji.



Leopold Gottlieb, Portret Jana Chmielińskiego, Zakopane 1919 r., reprodukcja obrazu olejnego, fotograf nieznany, fotografia wykonana w latach 30. XX wieku, papier fotograficzny 20,5 x 17,2, fot. Zbiory Ikonograficzne i Fotograficzne Muzeum Narodowego w Warszawie, kopiowanie zabronione.

W 1951 roku Chmieliński otrzymał obywatelstwo brytyjskie i wystartował drugi raz na niwie pisarskiej. Bodziec do drugiego debiutu literackiego przyszedł z kraju. W 10-tą rocznicę śmierci ojca otrzymał od Romana Ingardena z Krakowa prośbę o

przysłanie materiału biograficznego dla Kornela Makuszyńskiego, który zamierzał pisać artykuł o aktorze dla Encyklopedii.

> Zacząłem od "Drogi Panie Kornelu" i nim się ocknąłem – z tego "wstępu" zabrnąłem do Gmachu Skarbkowskiego – i łupnąłem 16 stron jednego wieczora – a tu „kuda im" do końca biograficznej notatki – dopiero mam 3 lata po tych 16 stronach – i tak zacząłem brnąc w zakamarki dzieciństwa szukając w nich mego ojca.

Nakreśliwszy parę słów do Tymona Terleckiego z prośbą, aby przed wysłaniem do Makuszyńskiego sprawdził i poprawił błędy faktograficzne, "bo przecież poza moją dość kiepską pamięcią nie operowałem żadnym absolutnie materiałem", skrypt nadał do siostry zamieszkałej w Londynie. Terlecki – lwowiak i teatroman – zareagował pozytywnie na jego tekst, a Grydzewski wyraził zgodę na druk.

„Dziękuję za Chmielińskiego – pisał do Terleckiego – mam tylko wątpliwości co do formy Kazimierzowa Wierzyńska Jarecka". Terlecki powiadomił autora, iż tekst został przyjęty, a od siebie namawiał ziomka do zapisania afrykańskich wrażeń i przygód. Tymczasem Grydzewski miał mieszane uczucia, bowiem po paru dniach pisał znowu do Terleckiego: „Dziękuję za śliczne

wspomnienie. I jaka szkoda, że Chmieliński był takim okropnym aktorem". Po druku szkicu *Z Dijon przez Warszawę do Ugandy*, gdzie przedstawia sceny wymowne lub historycznie przełomowe, w które wpisuje chwile subiektywnie przeżywane, redaktor bronił się przed nawałem maszynopisów, a co do Chmielińskiego "proszę o nieprzesyłanie dalszego ciągu dopóki z tym się nie uporam, A przecież jest jeszcze Fryling, który ma pierwszeństwo".

Dopiero na jesieni wydrukował trzy odcinki wspomnień Chmielińskiego pod ogólnym tytułem *Dom mojego ojca*. Przeczytawszy je Jan Lechoń – dawny kolega z Paryża – wysoce pochwalił jego pisarstwo.

> Jaś Chmieliński zupełnie świetny – pisał do Grydza – to nie tylko sentyment, ale już styl, czyli literatura. Napisz mu, jak bardzo zachwycam się nim i że go najserdeczniej pozdrawiam.

Niebawem Lechoń wraz z Józefem Wittlinem nadał audycję o nim na falach Radia Wolna Europa w Nowym Jorku. Nie żeby wszyscy abonenci "Wiadomości" londyńskich tak się zachwycali jego reminiscencjami. W ostatnim numerze grudniowym wydrukowano list oburzonego czytelnika na prowincji:

J.B. w Wolverhampton:

> „Wiadomości” zaprenumerowałem tylko dlatego, że Panowie energicznie poruszyli (początkowo!) sprawę Norwida i jego twórczości. Teraz cisza! To bardzo przykre! W rubryce: Czytelnicy o „Wiadomościach”, nie ma nic ciekawego, to straszny „rubbish” – naprawdę szkoda cennego papieru! Jeden artykuł, taki np. jak Lechonia o literaturze polskiej w nr. 332/337 – zrobi więcej dla “Wiadomości” niż tysiące bzdur wypisywanych przez różnych „literatów” we wspomnianej rubryce. A gdzież jest Norwid, Norwid, Norwid? Coś o Norwidzie! Czemu taka kłopotliwa cisza o Norwidzie? Czyżby nowa… zmowa milczenia, skoro pisze się o różnych „domach mojego ojca”, a nie ma miejsca dla Norwida?… W każdym razie dzięki za Goetla „Polska legenda” w nr. 346, Terleckiego „Wejrzenie na Słowackiego” w nr. 340 (z niecierpliwością czekam, aby Terlecki coś napisał o Norwidzie), Schoenfelda „Niebo gwiaździste nade mną” w nr. 344.

Druk takiej opinii w okresie świątecznym i to w szpalcie zawierającej mdłe wyrazy hołdownicze pod adresem pisma, wygląda na świadomą złośliwość redaktora. Chmieliński, nieco obruszony, palnął niby humorystyczną ripostę.

> Najbliższym cargo, które wychodzi z Mombasy za trzy miesiące, wyślę skrzynię, zawierającą pierwszych 7 rozdziałów mego nowego utworu p.t. “DOMEK MOJEJ BABCI” osnutego na tle znanej piosenki:
>
> “Zbudujemy naszej babci domek maaały…”
>
> Jeżeli utwór ten uzyska – w co nie wątpię – aprobatę Szanownej Redakcji proszę uprzejmie o opublikowanie na łamach jej poczytnego pisma pierwszych 3 tomów pism Cypriana Kamila Norwida z przypisami Zenona Przesmyckiego i skierowanie należnego wierszowego na mój adres w Ugandzie.
>
> Mam niepłonną nadzieję, że moja skromna inicjatywa znajdzie naśladowców, dokonując tym samym dawno czekanej zmiany grafomańskiego “rubbish” na brylanty naszej literatury.

Jeżeli list został wysłany, nie bez racji wylądował pewnie w koszu.



Pokój redaktora londyńskich „Wiadomości”, fot. Biblioteka Uniwersytecka Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Dzięki publikacji na łamach “Wiadomości” zagubionego pod równikiem literata odnaleźli dawni przyjaciele – Jan Fryling (choć jako kolega szkolny mogli być w kontakcie wcześniej), Józef Wittlin, a przede wszystkim Wacław Zyndram-Kościałkowski (podwładny Chmielińskiego w paryskim konsulacie) oraz jego żona Janina, także kobieta pióra. Kilka tygodni wcześniej zanim ukazała się nagana zniesmaczonego mieszkańca Wolverhampton, Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego w Londynie poprosiło Chmielińskiego o odczyt. W połowie grudnia 1952 roku, w krytym słomą okrąglaku u stóp Gór Księżycowych, były dyplomata zasiadł do spisywania

wspomnień z teatru polskiego w Wiedniu podczas I wojny światowej. Gdy maszynopis nie dotarł zawczasu na imprezę, Terlecki przekazał go Grydzewskiemu, który lakonicznie potwierdził odbiór: „Dziękuję za Chmielińskiego” i dał tekst do numeru wielkanocnego.

Zdaje się, że Chmieliński wysyłał swoje skrypty do Terleckiego, który może po retuszowaniu przekazywał je potem redaktorowi. Grydzewski dwa artykuły odesłał mu, gdyż “o Pawlikowskim drukowaliśmy niedawno trzy artykuły Frylinga i jeden Nowakowskiego”. Na domiar złego – Grydzewski przekonywał –

> …jest to znowu artykuł o Chmielińskim. Bardzo szanuję uczucia synowskie, ale przecież jest to zupełny portret imaginacyjny. Chmieliński był jednym z najgorszych aktorów jakiego moje oczy oglądały.

Mimo to latem – że to sezon ogórkowy? – dał do druku *Imieniny ojca i chrzciny nowego teatru*, o uroczystym otwarciu Teatru Miejskiego we Lwowie, oraz *Teatralne wakacje*, o występach gościnnych lwowskiego zespołu aktorskiego w Krynicy. Skrypt uległ widocznie cięciom czy innym poprawkom, Chmieliński bowiem narzekał, że:

> Grydzewski, a może Tymon Terlecki rożne smaki powylizywali z tego krynickiego pieczywa. N.p. o Pietrzyckim pisałem *ex re* jego krynickich kawałów, że „najwidoczniej kupując w lipcu returkę <Lwów-Muszyna> dawał zasłużony urlop Muzie Anakreonta, z którą spędzał hivernalia, a po krynickim deptaku uganiał ze swawolną Muzą Apulejusza”.

Tymczasem jego sugestywne wskrzeszenie minionego świata wywoływało u czytelników uczuciowy odbiór, wzbudzało tkliwe wspomnienia. Powodowało, że wznowiły się i ożywiły stosunki i zbliżało ludzi rozproszonych w diasporze. Szczególne wrażenie zrobiła istna litania nazwisk (opatrzona czasem krótką charakterystyką) członków zespołu, pozujących do zdjęcia na schodach teatru krynickiego przed I wojną światową. W tym przypadku, za pośrednictwem Jana Frylinga w Indiach, Stefan Badeni nawiązał kontakt z Chmielińskim, żeby prosić o przysłanie mu kopii wspomnianej fotografii.

> Wielki to dla mnie komplement – pisał potem plantator – bo z tego zdjęcia mam tylko pamięciową odbitkę i to z r. 1914-go albo 18-go – bo po tamtej wojnie fotografia ta zaginęła w przeprowadzkach.

W tymże artykule Chmieliński zgłasza swoje chłopięce uwielbienie dla pięknej Beatrice Grekówny:

> „Tryczko”! Damo, już pewnie dziś siwowłosa, ale z tym samym profilem greckiej kamei, jaki Cię zdobił przed laty, jeśli dojdą do Ciebie te słowa w dalekiej Brazylii, przyjmij je jako moje pierwsze wyznanie adoracji dla kobiecej urody, spóźnione o lat pięćdziesiąt.

Ukochana jeszcze przed wojną zamieszkała z mężem w Cincinnati, gdzie słynąc z urody pojawiała się nierzadko w kronice towarzyskiej lokalnej prasy. Po ukazaniu się wspomnienia Chmielińskiego starsza pani odezwała się doń. Była wdzięczna za pamięć, która po 6 latach ciężkiego chorowania w sanatorium na gruźlicę dodała jej sił do dalszej walki o życie. Poza meritum literackim, “Wiadomości” w życiu emigrantów działały jako wielka sortownia, skrzynka pocztowa czy klub towarzyski: literata z Ugandy czytają przyjaciele w Delhi, w Cincinnati i Laloubère. To poniekąd przyczynia się do nadania pismu cech *Familienblatta*. Przy tym pismo spełniało rolę terapeutyczną. Umniejszało poczucie osamotnienia. Wiązało koniec z początkiem.

Przy tym krótki epizod współpracy Jana Chmielińskiego z literackim Londynem daje wgląd w kuchnię i politykę redaktora.

Grydzewski uzasadniał swoją niechęć do współpracownika m. in. tym, że po pierwszej serii wspomnień jeden z przyjaciół Chmielińskiego napisał do redakcji „list wytykający dziesiątki zasadniczych błędów". Skarżył się:

> Zwracam Chmielińskiego: to w kółko to samo, poza tym roi się od nieścisłości. Jak można nie wiedzieć, że staremu Leszczyńskiemu było na imię Bolesław, a nie Stanisław? Słynna sypka z Lenartowiczem, to Kotarbiński. Wincenty Brzozowski spędził ostatnie lata przedwojenne w Warszawie, nie słyszałem by wyjeżdżał do Paryża. Poza tym to maniactwo ze starym Chmielińskim, aktorem wręcz okropnym.

Chmieliński sam stwierdził, że Terlecki go namawiał na pisanie korespondencji z Afryki, choć sądząc z początku *Listów*, powstały one z zachęty Janiny i Wacława Zyndram-Kościałkowskich.

> Pisze mi Pani, że moje afrykańskie listy czytacie „na wyrywki" — zaciekawieni wszystkim co mnie otacza. Zadajecie mi mnóstwo pytań, czekając cierpliwie na moje nieczytelne gryzmoły, które wam przyniosą na nie odpowiedź, a po tej odpowiedzi przychodzą dalsze pytania, coraz kłopotliwsze, i to z dopiskiem Pani, jak w ostatnim

> liście: „Szkoda że nas tu dwoje tylko na tej zabitej deskami od świata prowincji pirenejskiej do odczytywania — choć z trudem i czasami przez lupę — bo to, co Pan pisze interesowałoby wielu takich jak my prowincjuszów.
>
> Od którego z pytań mam zacząć? Czy od tego ile słoni i bawołów ubiłem w Afryce, czy i czym tłukę Murzynów, co czytam, co piję i w jakich ilościach, jak się sadzi kawę, czy jeszcze maluję, czy mam czarne hurysy, ile, w jakim wieku, czy Mau Mau do mnie podchodzą, jak daleko ode mnie teatr i kino, jak się chronię przed wężami i moskitami, jak to się dzieje, że jeszcze nie straciłem humoru, jak to się stało, że ja, ongi cygan paryski, trochę malarz, trochę muzyk, a z fachu „bubek z emeszetu", osiadłem na roli i to w centrum Afryki?

Trzy wykoncypowane przezeń listy miały zawierać opowieści o leśnych zwierzętach, o przejściu autora z urzędasa na hreczkosieja oraz anegdoty o plantacji, plantatorach i murzynach. Terlecki przekazał skrypt Grydzewskiemu, który mu odpisał:

> Co się tyczy listu afrykańskiego, musiałby zająć całą stronę. Gdyby Pan chciał wyłuskać z niego historię ichneumona bez dygresji – zgoda.



Uganda, u stóp Gór Księżycowych.

Chmielińskiego powiadomiono, że choć sama rzecz podobała się, nie mogą jej dać w całości, bo za długa i zajęłaby całą stronę „Wiadomości". Chcieli, żeby Terlecki skrócił od czego on się na szczęście wymówił – no i tak listy te wiszą w powietrzu.

Grydzewski upierał się, żeby nie dać ich do druku, a Terlecki toczył z nim "homeryckie boje". Walka o przełamanie oporu redaktora trwała rok, aż wreszcie doszło do kompromisu. Obolały Chmieliński donosił:

> z I-go listu zrobiono dwa, a poza tym porobiono – jak mi

> pisze p. Kościałkowska, bo sam tego nie widziałem jeszcze w druku – sporo wycinanek. Bardzo takich operacji nie lubię.

A Grydzewski, nie bez irytacji, pisał do Terleckiego:

> Chmielińskiego zrobiłem tylko dla Drogiego Pana. Dziesiątki razy prosiłem autorów o przysyłanie maszynopisów na interlinii, z marginesami i nie na bibułce. Nie wiem dlaczego nie można się do tego stosować i dlaczego mają się męczyć naprzód Pan, potem ja, a wreszcie maszynistka. Ani Józef, ani Jan, ani Rikki tego nie warci.

Listy z Czarnego Lądu ukazały się drukiem po całorocznym czekaniu. Ostatecznie za dziewięć artykułów redaktor nie wypłacił Chmielińskiemu ani jednego grosza honorarium. I nie zamierzał korzystać więcej z jego pióra, mimo że Jan Fryling podziwiał jego stylistykę, a w rubryce "Czytelnicy o <<Wiadomościach>>" niejaki J.W. z N. Yorku nazwał go "zespołem talentów". Plantatorowi nie najlepiej też wyszła współpraca z redakcją "Życia" w Londynie, gdzie ukazał się odrzucony przez Grydza artykuł o Pawlikowskim.

> W art[ykule] o Pawlikowskim, który się ukazał w „Życiu"

> kwietniowym, z “Cepnika żołędnego”, tj. owada który boruje żołędzie na dębie, zrobiono Cepnika żołądkowego. A że określiłem tę nazwę w tekście jako “entomologiczną” wychodzę w tym żołądkowym ujęciu na zupełnego kretyna (…). Pociesza mnie tylko myśl, że większość czytelników „Życia”, gustująca w Żywotach Świętych, Świętych Męczenników i Życiu Przykładnym Św. Zyty, nie wie co to entomologia.

Narzekał: “Bardzo […] nie lubię poprawek redakcyjnych bez sensu”. A mógłby jeszcze wytknąć adiustatorowi, że w druku zmieniono mu Maeterlincka (autora *Wnętrza*) na “Maeternicka”. Chmieliński przesłał również do Londynu artykuł o Stanisławie Szukalskim, z którego redakcja

> wydłubała wszystkie rodzynki i wycięła wszystkie gruczoły łącznie z męskimi – i w tym stanie przysłała mi do aprobaty. Napisałem, że wycofuję artykuł i chcę go posłać do Ameryki na ręce Janty […].

I na tym bodaj skończyłby się epizod jego współpracy literackiej z polskim Londynem, gdyby nie Tymon Terlecki, który

> przestraszył mnie wiadomością, że mój bezpretensjonalny artykulik o pomniku Mickiewicza we Lwowie – przesłał do zbiorowego wydawnictwa zamierzonego na 100-lecie Mic[kiewicza]. Jeśli co nie daj Boże zamieszczą – będę wyglądał zgoła śmiesznie w towarzystwie naukowców. Nie wiem co Terl[eckiemu] strzeliło do głowy.

Czy Chmieliński samorzutnie napisał ten szkic, czy na prośbę Herminii Naglerowej, inicjatorki i pierwszej redaktorki serii "Żywych", wydanej przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, trudno ustalić. Wydawałoby się, że Naglerowa zaprosiła go do kolejnej książki, czyli do tomu "Wyspiański Żywy", który z powodu choroby, a potem śmierci pani Herminii, Terlecki musiał wykończyć. Tam ukazał się szkic Chmielińskiego o paryskiej inscenizacji *Wesela* w przekładzie Łada-Cybulskiego, za co otrzymał królewskie honorarium dwu funtów. Tymczasem w archiwum Terleckiego nie ma śladu po dyplomacie – plantatorze, którego kontakty z polskim Londynem wymagają dalszych badań.

Artykuł został zaprezentowany podczas sesji naukowej p.t. „Zapomniani pisarze emigracyjni", która miała miejsce w ramach Targów Książki w Warszawie w maju 2017 r.

Poeta zapomniany. Część I.



Czesław Ratka w Madrycie

W październiku 2017 roku ukazał się III tom i ostatni niezwykłego tłumaczenia na język polski XVI-to wiecznego narodowego eposu Chile o wojnie hiszpańskich Konkwistadorów z chilijskim plemieniem Mapuchów, autorstwa Alonso de Ercilla

y Zuńiga, naocznego świadka wydarzeń. Tom I „Araukany" w polskim tłumaczeniu ukazał się w 2013 roku, a w roku 2016 tom II. Tłumacz, pan Czesław Ratka to polski inżynier elektronik, pasjonat literatury, mistrz pióra, nagrodzony w 2013 roku przez Instytut Cervantesa w Polsce za tłumaczenie literackie. Autor tego unikalnego przekładu pisze o genezie utworu, trudnej historii Chile i swojej benedyktyńskiej pracy.

Redakcja

Czesław Ratka

Z pierwszymi wzmiankami o istnieniu trzyczęściowej wierszowanej relacji z walk o opanowanie przez Hiszpanów terytoriów chilijskich zatytułowanej *La Araucana, autorstwa* Alonsa de Ercilla y Zúñiga, zetknąłem się prawie pięćdziesiąt lat temu. Nie przypominam sobie, w jakiej książce, ani kto był jej autorem, ale pamiętam, że pierwsza część eposu była w niej chwalona, druga była krytykowana za obecność wtrętów niezwiązanych z historią podboju oraz wstawek fantazyjnych, a trzecia – uznana za najgorszą, jako zlepek przypadkowych, niespójnych treści na różne tematy. Pamiętam też, że taką samą, lub podobną, opinię spotykałem później wielokrotnie w różnych tekstach na temat konkwisty, pisanych przez różne osoby. Taki sposób przedstawienia epopei chilijskiej nie zachęcał do sięgnięcia po nią. Dzisiaj wiem, że była to ocena historyka

poszukującego u dawnych autorów faktów o konkwiście, a nie miłośnika poezji epickiej. Wartości literackie nie miały tu żadnego znaczenia.

Dziewięć lat temu natrafiłem w Internecie na pełen tekst epopei Ercilli i zrozumiałem od razu, dlaczego uchodziła za nieprzetłumaczalną. Jest napisana oktawą rymowaną (na wzór włoskiej *ottava rima*) – wers jedenastozgłoskowy, rymy *abababcc* – z takim bogactwem treści i form językowych, że trudno sobie wyobrazić możliwość oddania całego mistrzostwa autora w innym języku przy jednoczesnym zachowaniu rygorystycznej formy. Zrobiłem własną przymiarkę do przełożenia choćby jednej oktawy, ale po kilku dniach się poddałem. Osiemnaście miesięcy później powtórzyłem próbę, tym razem z sukcesem.

Obecnie mam przed sobą dopiero co odebrany z drukarni trzeci (ostatni) tom mojego przekładu. Poprzednie ukazały się w latach 2013 i 2016. Praca nad częścią pierwszą (1136 oktaw) trwała trzy lata, nad częścią drugą (966 oktaw) – dwa i pół roku, a nad trzecią (530 oktaw) – piętnaście miesięcy; przy czym ta trzecia jest objętościowo wyraźnie mniejsza. W sumie 2632 oktawy, czyli ponad 21 tysięcy wersetów.


LA ARAVCA
na de don Alonso de Er-
cilla y çuñiga.
DIRIGIDA A LA SACRA
Catholica Real Magestad del Rey
don Phelippe nuestro Señor.
EN SALAMANCA,
En casa de Domingo de Portonariis, Impres-
sor de su Catholica Magestad.
1574
Con privilegio de Castilla, y de Aragon.
A costa de Vicente, y Simon de Portonariis.
Renesansowe wydanie „Araucany”.



Alonso de Ercilla y Zúñiga na dawnej rycinie.

Alonso de Ercilla y Zúñiga urodził się w Madrycie w roku 1533. Wcześnie osierocony przez ojca, jurystę, członka Rady Królewskiej, był wychowywany na dworze późniejszego króla Filipa II, gdzie otrzymał solidne wykształcenie. Jako paź księcia brał udział w każdej jego podróży, dzięki czemu poznał wiele krajów Europy. W wieku 21 lat, świeżo pasowany na rycerza, dowiedziawszy się o buncie Indian chilijskich, Mapuczów (których później nazwie Araukanami), udał się do Chile, by mieczem udowodnić swoje oddanie dla króla i kraju, i zakosztować przygód. Egzotyka Nowego Świata, ogrom przeżyć,

a przede wszystkim podziw dla Mapuczów – którzy, jako jedyne plemię indiańskie zachowają swoją niezależność przez trzysta pięćdziesiąt lat – sprawiły, że poczuł potrzebę uwiecznienia ich za pomocą pióra; i choć wielu chwali jego wyczyny wojskowe, on sam pisze o tym tak:

> Kroku w prowincji tej nie wykonano,
>
> Żebym go własną stopą nie przebadał;
>
> Ciosu ni pchnięcia nożem nie zadano,
>
> Bym nie powiedział, kto tę ranę zadał;
>
> Owszem, w potyczkach mało mnie widziano,
>
> Gdyż to, com widział, i co opowiadam,
>
> Tak bardzo umysł mój oczarowało,
>
> Że ramię miecza dobyć zapomniało
>
> Jeśli skłoniło mnie coś, bym to spisał-
>
> Choć talent marny, a styl mój koślawy –

> To chęć, by czyny przetrwały w zapisach
>
> I żeby czas ich niesłusznie nie strawił.

Opisywał na gorąco to, czego był świadkiem i to, czego się dowiedział o wydarzeniach wcześniejszych od ich uczestników. Wziął udział w siedmiu walnych bitwach, między innymi w tej, która zadecydowała o upadku indiańskiego powstania; a choć opisywana kampania kończy się wygraną Hiszpanów, w wierszach jego nie znajdziemy nut tryumfu. Dostrzega okrucieństwo i odczuwa moralne wyrzuty za uczestnictwo w przedsięwzięciu, które nie przynosiło chluby Hiszpanom. Skoro jednak obiecał opowiedzieć rzetelnie wszystko do końca, pisze w zakończeniu pieśni XXXI:

> Nie wiem, jakimi słowy ten szturm krwawy
>
> Opowiem, jakim sposobem wyrażę
>
> Tę słuszną litość i słuszną nienawiść,
>
> Bo obie zawsze zjawiają się razem.
>
> Duch to stanowczy, to pełen obawy

> Mnie powstrzymuje i wątpić mi każe,
>
> Bo gdy współczucie i żal wzbudzę w sobie,
>
> Potępię, jako złe, to, co tu robię.
>
> Jeśli pominę ten atak na bramę
>
> I tak po uszy jestem weń wplątany,
>
> Jeśli to tutaj zostawię w tym stanie,
>
> Źle się wywiążę z obietnic składanych;
>
> Tak więc wątpiący w dobre rozwiązanie,
>
> Przeciwnościami tymi wciąż targany
>
> Do innej, nowej pieśni to odkładam,
>
> Ponieważ jest mi potrzebna porada.

Jeżeli dzisiaj, na fali refleksji nad niesławnym aspektem podboju

Ameryki, rozpoczętej przy okazji pięćsetnej rocznicy pierwszej podróży Kolumba, oryginalne relacje z podboju, tak niedawno jeszcze mające swoją sekcję w każdej większej księgarni w Hiszpanii, są *démodé,* to mamy tu przykład, że nie powinniśmy każdego z jego uczestników oceniać tak samo. Dowodów takich jest w *Araukanie* niemało.

Ercilla spędził w Chile zaledwie siedemnaście miesięcy. Jego przygoda skończyła się nagle w sposób dla niego fatalny. W trakcie świętowania nowiny o koronacji Filipa II wdał się nierozważnie w pojedynek z innym młodym szlachcicem, za co gubernator García Hurtado de Mendoza, główny dowódca wojsk hiszpańskich, skazał obu na ścięcie. Surowy ten wyrok został wprawdzie wkrótce zamieniony na wygnanie z Chile, miał jednak wpływ zarówno na życie poety, jak na losy jego poematu:

> Święto zakłócił traf nieprzewidziany,
>
> A sędzia taką skwapliwość wykazał,
>
> Żem wnet na suknie stał jako skazany,
>
> Bo mnie na gardle zaraz karać kazał;
>
> Złoczyńcą stałem się zdeprawowanym,

> Jak to publiczna pogłoska rozgłasza,
>
> Przez to jedynie, że za miecz chwyciłem,
>
> Choć go bez racji nigdy nie dobyłem.

Po powrocie do Hiszpanii autor wydał drukiem pierwszą część swojej epopei (w roku 1569). Cała miała opowiadać wyłącznie o wojnie, jak zapowiada już w pierwszej oktawie:

> Nie o miłości śpiewam, nie o damach,
>
> Nie o konkurach szlachetnych rycerzy,
>
> Nie o ich troskach, czułościach, staraniach
>
> Ani o głębi ich miłosnych przeżyć,
>
> Lecz o odwadze i o dokonaniach
>
> Owych walecznych hiszpańskich żołnierzy,
>
> Którzy na karki wolnych Araukanów
>
> Włożyli jarzmo po krwawym zmaganiu.

I tak rzeczywiście jest – przeplatają się w niej dwa wątki: araukański i konkwistadorski. Wprawdzie pod koniec pojawia się epizod miłosny, ale akceptujemy go, gdyż przedstawia pożegnanie jednego z głównych bohaterów, mającego zginąć, z żoną, co przywołuje nam w pamięci scenę pożegnania Hektora z Andromachą w Iliadzie, a takie nawiązanie do wzorów antycznych jest u renesansowego poety zrozumiałe. Autor sam jednak zaczyna wątpić w słuszność zawężenia tematyki do spraw Marsowych, które sam sobie narzucił:

> Jużem to chciał tu zostawić, uznając,
>
> Że trwa zbyt długo i znuży każdego
>
> (Kiedy prawdziwy bieg spraw przybliżając,
>
> Trzymam się ciągle tematu jednego);
>
> Bo słowa tak się gładko nie składają
>
> I nie ma nigdzie pióra tak nośnego,
>
> By długo pisząc, w rutynę nie wpadło –
>
> Jak nie ma jadła, by się nie przejadło.



Bitwa pomiędzy Hiszpanami i Mapuchami, rycina z poematu epickiego „La Araucana" Alonso de Ercilla y Zúñiga, wyd. Madryt 1884, red. J. Gaspar, s. 168.

Część pierwsza została przyjęta bardzo dobrze, a autora spotkały zaszczyty zachęcające go do kontynuowania dzieła. Dziewięć lat później ukazuje się drukiem część druga, a zachwycony García Hurtado de Mendoza, gubernator Chile – ten, który kiedyś skazał Ercillę na śmierć – dołącza do wydania sonet własnego autorstwa na cześć twórcy. Teraz już autor nie zamierza trwać przy obietnicy wypowiedzianej w pierwszej oktawie poematu, która nie pozwalała mu na szersze pokazanie jego możliwości, i dwa wątki podstawowe, opowiadające dalsze dzieje wojny chilijskiej, ozdobi pękiem historii dodatkowych, prawdziwych i fantazyjnych, splecionych w jedną całość dzięki własnemu

kunsztowi poetyckiemu, jakby nam chciał powiedzieć o wszystkim, co ludzkie. Jest to prawdziwie renesansowe podejście, czego historycy krytykujący dzieło nie dostrzegli, ponieważ chcieli w nim widzieć sprawozdanie z wydarzeń historycznych, gdy w rzeczywistości jest pięknym dziełem literackim:

> Od siebie rzeknę, z jakim zatroskaniem
>
> Trzymam w pamięci oraz z jakim lękiem
>
> Wspominam słowo niepotrzebnie dane,
>
> Że rozpoczętą tę dokończę księgę;
>
> Bo z tej materii suchej i niechcianej,
>
> Tak bezowocnej, jaką wziąłem w rękę,
>
> Mogę mieć tylko na trudy widoki,
>
> Gdyż źle z makuchów wydobywać soki.
>
> Kto mnie w te stoki i chwasty wpakował

Za głosem bębna i trąby chrypiącej,

Gdy mógłbym sobie po gajach wędrować,

Zbierając różne kwiaty woniejące,

Wplatając w treści, którem zaplanował,

Bajki, amory i plotki krążące,

Którymi mógłbym bez reszty się zająć,

Czerpiąc z nich radość i radość sprawiając?

Czy wszystko ma tu być walką, wrogością,

Niezgodą, ogniem, krwią i okropieństwem,

Napastliwością, nienawiścią, złością,

Zuchwalstwem, szałem, urazą, szaleństwem,

Furią, odwetem, gniewem, potwornością,

Mordem, pogromem, rzezią, okrucieństwem,

> Które i w Marsie odrazę wzbudzają,
>
> A możliwości moje przekraczają?

O ile w części pierwszej są opisane wypadki mające miejsce przed przybyciem Ercilli do Chile, a zatem zasłyszane zaledwie przez niego, to w drugiej opisuje to, co zobaczył na własne oczy i co zrobiło na nim tak mocne wrażenie, że miecz postanowił zamienić na pióro. Trudno też wykluczyć, że po publikacji pierwszej części spotkała autora przygana, że marnuje swój talent na opiewanie mało istotnych awantur z dzikusami rozgrywających się gdzieś na końcu świata, dokąd podróż trwa cały rok, zamiast się zająć tym, co dla Hiszpanii, największej potęgi na świecie, jest najważniejsze i decydujące dla jej przyszłości; a także wychwalaniem sukcesów króla, któremu on sam tyle zawdzięcza. Ercilla musiał się więc wykazać nie lada inteligencją, wyobraźnią i zdolnościami, by spoić w jedną historię opis wojny araukańsko-hiszpańskiej, dziejącej się w latach 1553-58 w Chile, z bitwą pod Lepanto z roku 1571.

Trzecia część epopei, która ukazała się drukiem w roku 1589, miała mieć w zamyśle autora strukturę podobną do części poprzedniej: dwa wątki zasadnicze traktujące o wojnie chilijskiej oplecione bukietem epizodów pobocznych. Na to wskazuje jej kilka pierwszych pieśni. Tymczasem w Hiszpanii działy się

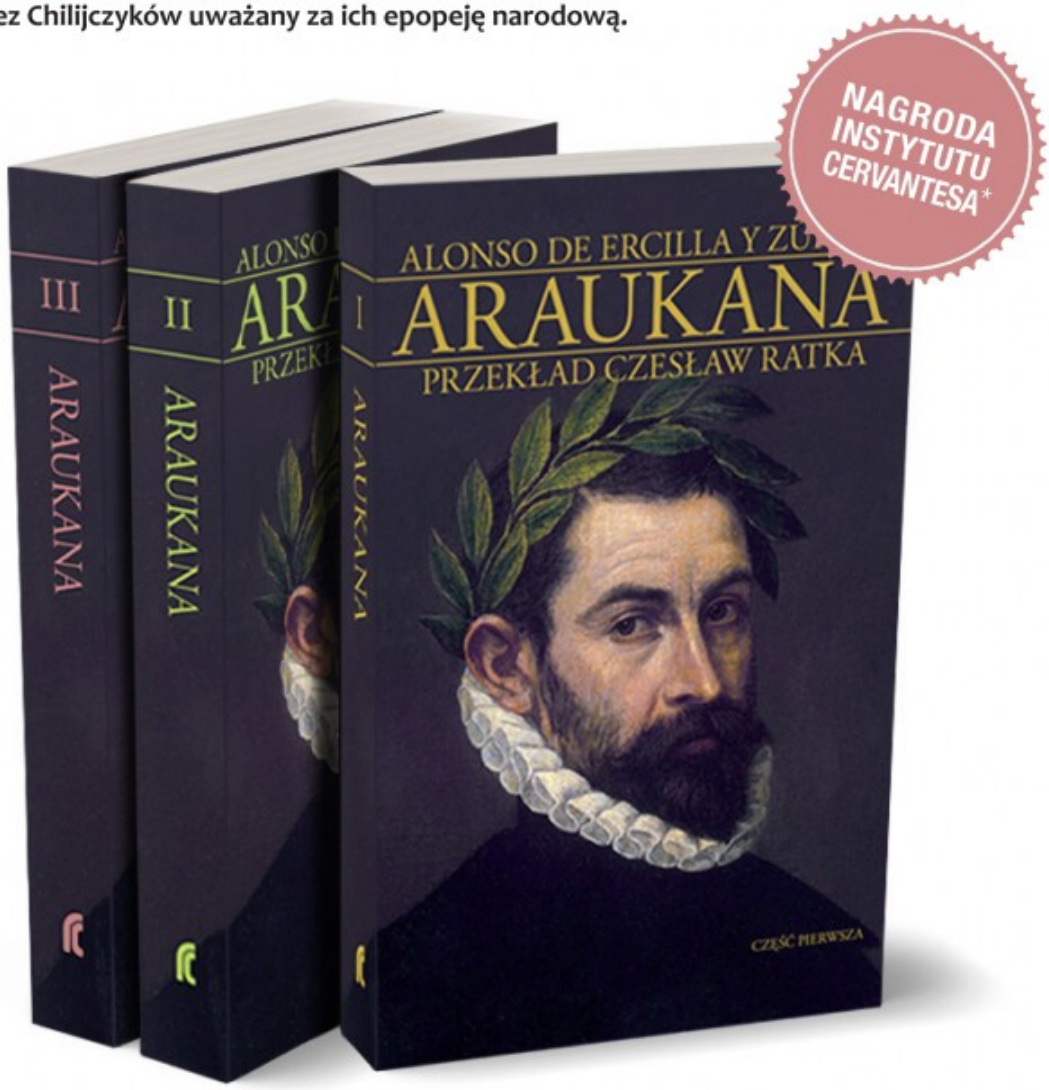
wówczas rzeczy ważniejsze, na które Ercilla, jako zawsze oddany i wierny swojemu władcy, nie mógł pozostać obojętny i musiał, bo tego chciał, wyraźnie wyartykułować swoje stanowisko w tej sprawie. Chodzi o interwencję Filipa II w Portugalii w latach 1580-83, której celem było włączenie tego kraju do jego królestwa. W ten sposób powstała pieśń zaplanowana przez autora jako końcowy akcent w jego poemacie. Należało tylko poprowadzić dokładane wątki ku temu celowi. Niestety przedwczesna śmierć poety nie pozwoliła na to przemyślane zespolenie. Dlatego trzecia część *Araukany* liczy tylko osiem pieśni (pierwsza miała ich 15, a druga 14) i sprawia wrażenie, jakby wydarto z niej kilkadziesiąt stron. Wprawia też w zakłopotanie czytelnika, który się w jej treści gubi, i jeśli nie przeanalizuje jej dostatecznie wnikliwie, powie o niej, jak nieraz miałem okazję czytać, że jest zlepkiem przypadkowych, niespójnych treści na różne tematy (mimo iż literacko jest może nawet lepsza, niż poprzednie).

„Poeta zapomniany”, część II ukaże się w poniedziałek 27 listopada 2017 r.

NAJLEPSZE DZIEŁO HISZPAŃSKIEJ POEZJI EPICKIEJ

PO RAZ PIERWSZY W HISTORII W JĘZYKU POLSKIM

Renesansowy poemat napisany oktawą rymowaną w układzie abababcc,
opowiada w ponad 21 tysiącach wersetów historię zrywu chilijskiego plemienia Mapuczów (Araukanów) przeciwko inwazji hiszpańskiej w latach 1553–58.
Przez Cervantesa zaliczony do „najpiękniejszych kobierców poezji, jakie ma Hiszpania" i uznany za jeden z „najlepszych spisanych po kastylijsku bohaterskimi wersami, mogący rywalizować z najsłynniejszymi z Włoch".
Przez Chilijczyków uważany za ich epopeję narodową.



* Nagroda Instytutu Cervantesa w Polsce za przekład literacki z języka hiszpańskiego – XI edycja 2013/2014

Wszystkie trzy części dostępne w Księgarni Bonobo (Kraków, Mały Rynek 8).

Araukana – La Araucana

Czesław Ratka na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/witaj-swiecie/

_____

Czesław Ratka (ur. 1952) – polski inżynier elektronik, tłumacz literatury pieknej z języka hiszpańskiego. Ukończył Politechnikę Śląską. Oprócz szesnastowiecznego eposu *Araukana* Alonsa de Ercilla y Zúñiga, przetłumaczył relację Alvara Núñeza Cabezy de Vaca zatytułowaną *Naufragios*, która opowiada o wyprawie na Florydę, jaka miała miejsce w 1527 roku. Z trzystu uczestników ekspedycji przeżyło ją tylko czterech.

na podst. Wikipedii

Fatima

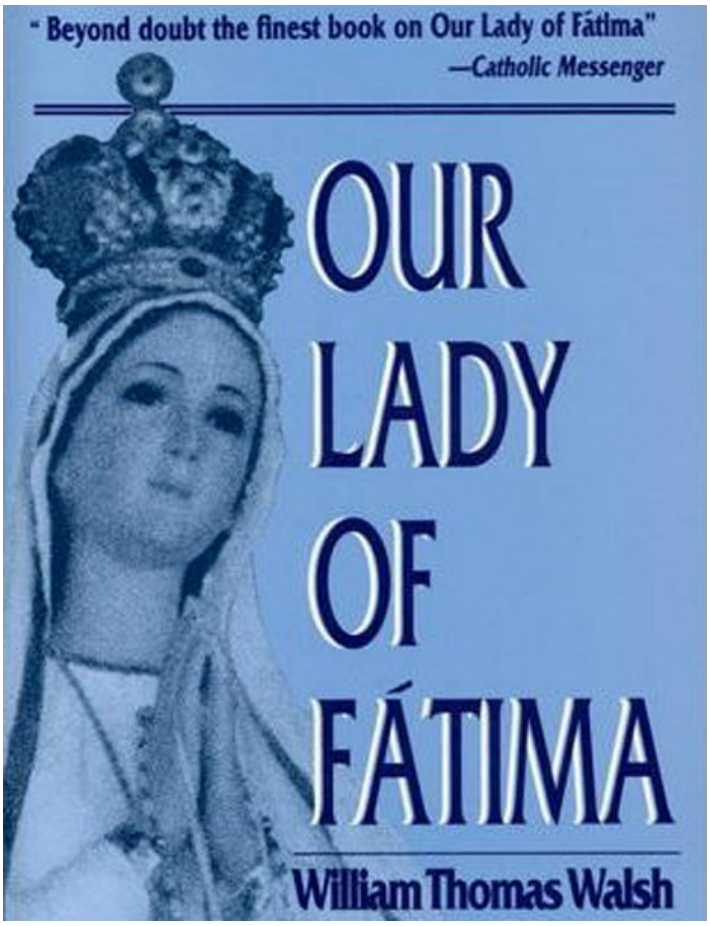


Fatima, Portugalia

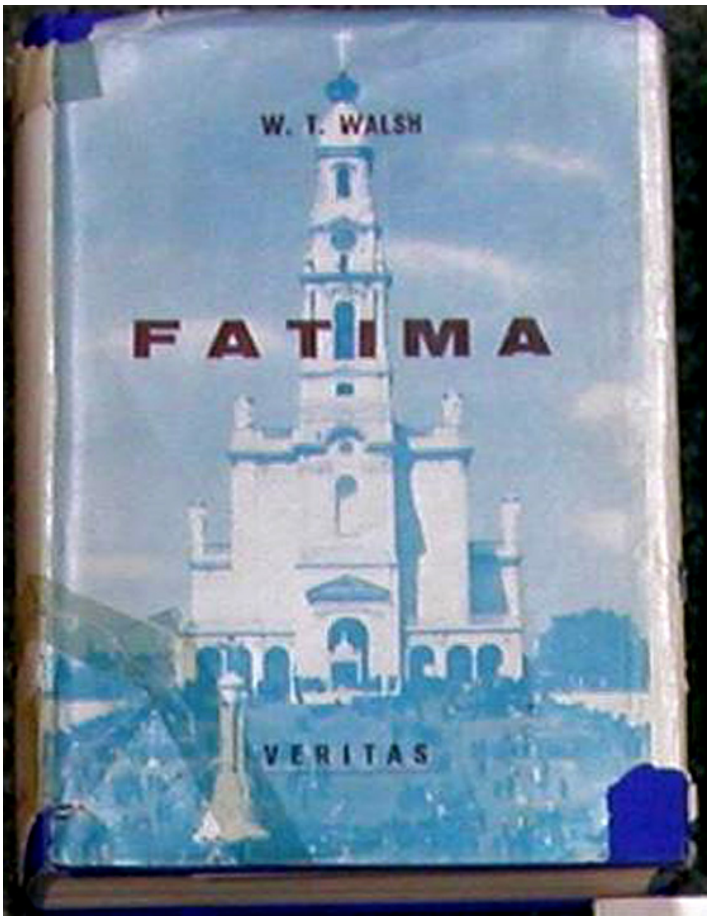
Florian Śmieja

Cały świat katolicki obchodzi stulecie objawień fatimskich. Wielu ludzi wspomina także swoje osobiste spotkania z cudownym zjawiskiem, liczni pielgrzymi i turyści odwiedzili niepozorną miejscowość w środkowej Portugalii, namnożyło się publikacji na sensacyjny temat, dynamicznie wzrósł kult trójki dzieci wyniesionych w tak cudowny sposób na scenę świata.

W Anglii jeden z redaktorów polskich, bodaj Jan Bielatowicz, zaproponował mi przełożenie amerykańskiej książki o objawieniu Matki Boskiej w Fatimie, niezwykle popularnej, napisanej przez Williama Thomasa Walsha (1891-1049), a ja, żółtodziub, podjąłem się zadania mimo małego doświadczenia i symbolicznej zapłaty. Tłumaczenie stało się moim sposobem ćwiczenia się w dwu językach, wzbogacania jednego i doskonalenia drugiego. Książka wyszła w 1956 roku w Londynie w serii niebieskiej Veritasu, a niedawno wydrukowano w Warszawie jej nowe wydanie.



Popularna książka o Fatimie autorstwa Williama Thomasa Walsha.



Książka o Fatimie Williama Thomasa Walsha w polskim tłumaczeniu Floriana Śmieji wydana w Londynie w 1956 r.

Mój tekst z pewnością pozostawiał dużo do życzenia. Zapamiętałem, że jedna ze starszych pisarek emigracyjnych zobaczywszy książkę, wzięła ją do ręki, a przeczytawszy kilka stron odezwała się do mnie, że zrobiłaby to inaczej, lepiej. Nie była odosobniona w krytyce i sposobie jej wyrażenia. Przyjmowałem uwagi cierpliwie, uznawałem je za cenę, którą płaci się za śmiałość zabierania głosu na publicznej arenie.

Ale potem się zbuntowałem. Za dużo było tych, co by lepiej zrobili. Teraz czekam na następnego krytyka i mądralę. Już

wiem, co bym takiemu/takiej odpowiedział. Że on/ona by zrobił/a, a ja zrobiłem. Różnicę stanowi małe słowo „by”.

Ponoć w PRL-u ten mój przekład był zakazany i poszukiwany, a nawet konfiskowany w prywatnych zbiorach przez UB.



Dzieci, którym ukazała się Matka Boska w Fatimie, w 1917 r.



Pielgrzymki proszących o cud w Fatimie.

Już po ukazaniu się mojego przekładu, zawstydzony, że pisałem o Fatimie nie znając jej, wybrałem się do Portugalii. Była to obecnie mało już pamiętana, samotna wyprawa, uciążliwe noce spędzone na krzesłach w prymitywnych warunkach wczesnych pielgrzymek. Po raz drugi pojechałem do Fatimy z żoną, ale spartańskie warunki jeszcze trwały i wspominamy podobną noc spędzoną na krzesłach nim zmieszaliśmy się z tłumem przed bazyliką w dniu miesięcznej pielgrzymki diecezjalnej z udziałem tego samego biskupa, który przewodniczył pierwszym takim uroczystościom od 13 maja do 13 października 1917 roku. Niestety aparaty fotograficzne wówczas nie posiadały dzisiejszej sprawności i zdjęcia wtedy zrobione wypadły licho. Mamy

fotografie procesji z figurą Matki Boskiej Różańcowej przez zatłoczony plac do katedry. To wszystko, co nam zostało na pamiątkę.

Miłosz w Wilnie oczekiwał cichego pobratymstwa



Marek Skwarnicki, fot. http://bookhaven.stanford.edu

Rozmowa Romualda Mieczkowskiego z Markiem Skwarnickim na temat przyjaźni z Czesławem Miłoszem

Romuald Mieczkowski: Niewiele osób może poszczycić się tak bliskimi kontaktami z największymi osobistościami współczesności. Pozostańmy w kręgu literatury, prosiłbym opowiedzieć o przyjaźni z Czesławem Miłoszem.

Marek Skwarnicki: Przyjaźń z Miłoszem, rozwijała się nie tak od razu, narastała latami, zwłaszcza w krakowskim okresie poety, obejmującym ostatnich dziesięć lat jego życia i polegała również na bliskości wileńskiej. Prawda, ja nie urodziłem się w Wilnie, tylko w Grodnie, ale jak wiadomo – „czym skorupka za

młodu nasiąknie…” – ciągle odkrywałem i teraz odkrywam w sobie ową kresowość, ja się czuję w Wilnie, jak w swoim miejscu. Ta swojskość wyraźnie była w Miłoszu. Żonę mam z Wilna, tu urodzoną, repatriantkę. Jej rodzina do Polski wyjechała chyba w 1946 roku. Poznałem ją w Toruniu, myślę, że zbliżyła nas owa kresowość, ponieważ taka była tradycja naszych domów. Umownie mówię „kresowość”, mając na myśli historyczne rodowody naszych rodzin, nie tylko wileńskie. Czas, spędzony z Miłoszem, był dla nas poniekąd w sporej mierze przypomnieniem Wilna – ten gród tylko z pozoru był *miastem bez imienia*. Czytając te wiersze od razu człowiek wiedział, że chodzi w nich o Wilno. I chłonął ten klimat, który również z wielu jego wierszy płynie. I nie tylko z wierszy. Poddawałem się urokowi miłoszowskich wypraw w staropolskość, które on robił z wielkim porywem i sentymentalnością. Spotykam ją tutaj i teraz, podczas pobytu na Litwie, słuchając chociażby w czasie wycieczki do Szetejń chóru starszych pań z Kiejdan. Tak śpiewała moja teściowa, tak grała na gitarze, jak jedna z tych pań. Spotkałem się więc ze zjawiskiem cofniętym kulturowo o ileś tam lat. I to jest ta pielęgnacja tradycji, jakie nie zachowały się już gdzie indziej. Ta rzewność urzeka nadal. Podobna rzewność była w twórczości Miłosza.

RM: Są tego przykłady. W rozmowach z Noblistą obecna więc była Litwa…

MS: I to w dużym stopniu. I przede wszystkim Wilno. Żona, jak pierwszy raz pojechała na Litwę i była w Szetejniach, to po wyjściu z autobusu zerwała z pobliskiego pola pąk kłosów żyta. Po powrocie do Krakowa wręczyła je Miłoszowi. I te kłosy potem u poety wisiały na ścianie, jako drogi symbol tych stron.

RM: Jak Czesław Miłosz oceniał po latach swoją ojczyznę?

MS: To był stosunek skomplikowany. Dlaczego, zrozumiałem to dopiero po rozmowach w Wilnie. Zrozumiałem, dlaczego Miłosz po pobycie w Wilnie był czymś zrażony. Nie śmiałem wtedy pytać, czym. Wiedziałem jednak, że coś go boli. Myślę, że poeta spodziewał się innego stosunku Litwinów do Polaków. Kiedy tu przybył, znany i pełen chwały, jemu wcale nie był potrzebny ten wielki entuzjazm, z jakim go witano, jemu potrzebne było ciche pobratymstwo Litwinów i Polaków.

RM: Czy o tym mówił?

MS: Unikał tego tematu, ale w jakichś postaciach on ciągle powracał. To był jego wielki dramat życiowy – czterdzieści lat przecież Miłosz żył w Ameryce, był – tak rzec można – człowiekiem świata, kultury uniwersalnej. Co by nie powiedzieć, Kraków jest pewną prowincją w stosunku do wielkich metropolii kulturalnych świata, w których bywał Miłosz i w których był honorowany, bo poza Noblem miał wiele innych nagród. Co

napisał wiersz, to „New Yorker” mu drukował, swoje zrobił pobyt we Francji i współpraca z przedstawicielami tamtejszych kręgów kultury. To wszystko stawiało go w czołówce. Ale on jednak – co jest najistotniejsze – pozostawał bardzo prostolinijny, był „kresowo prosty” i oczekiwał, że do niego na Litwie równie z tą prostotą będą się odnosić. Tymczasem większość spotkań odbywało się na wysokim, oficjalnym poziomie państwowym, oczekiwano od Noblisty deklaracji politycznych. I dlatego czuł się urażony, bo on się wcale nie wywyższał.



Wilno, fot. pinterest

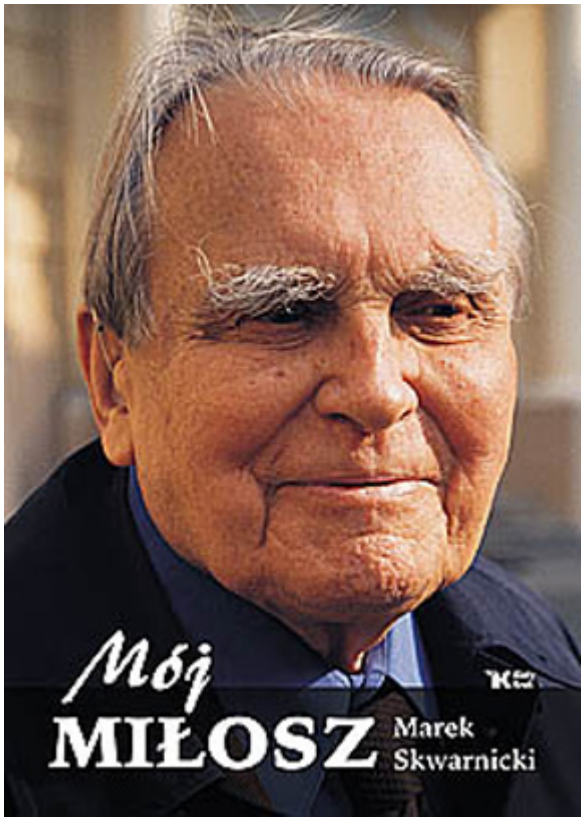
RM: A jakie refleksje nasuwają się Skwarnickim przy tym pobycie w mieście nad Wilią?

MS: W tej ocenie są różnice pomiędzy żoną i mną. Pierwsze, co zrobiła ona, to pojechała na Antokol, by zobaczyć miejsce, w którym się urodziła. Przystanęliśmy przed Filharmonią, gdzie wtedy mieściło się jej gimnazjum. Ja natomiast byłem w Wilnie dwa razy, pierwszy raz krótko, bo to była jednodniowa wycieczka. Tak naprawdę to nie był ten pierwszy raz, bo mnie, jako cztero- pięcioletnie dziecię, mama przywoziła z Grodna, kiedy tu przyjeżdżała po modne ciuchy. Należała do oficerskiej rodziny, nie była to specjalnie majętna szlachta. I ja pamiętam tamte wyprawy. Ale dopiero podczas przyjazdu na „Maj nad Wilią" poczułem, czym jest Wilno. Zachwyca jego piękno architektoniczne, z unikalną pozostałością dawnych wieków, harmonię pomieszaną z nowymi zabudowaniami. Pobyt w Wilnie, które przecież we mnie istniało również jakoś poetycko, uświadamia pewną spójność pomiędzy naszymi narodami, może dlatego, że jesteśmy razem w Unii, że przed nami roztaczają się nowe możliwości. Trochę mnie razi jednak zamknięcie się Litwinów – ja się po świecie nieco nawłóczyłem, ale rzadko kiedy byłem tak odcięty kontaktowo, otóż trafiłem do dziwnego świata, w którym istnieje kultura europejska – choćby poprzez obecność gotyku, renesansu, baroku i innych stylów, a jednocześnie – taka zamknięta w sobie enklawa. Zdaję sobie sprawę, że Litwa jest malutka i chce zachować swą odrębność, ale większe otwarcie

się wobec przybyszy z Polski na pewno by jej nie zaszkodziło. To nie powinno być źródłem żadnych kompleksów. Wielokulturowa spuścizna to majątek w kontekście coraz bardziej powszechnej kultury masowej Europy, zaś spotkanie terenów z tak pielęgnowaną własną tożsamością i odrębnością bywa wielkim przeżyciem.

Marek Skwarnicki opisał historię swojej przyjaźni z Czesławem Miłoszem w książce „Mój Miłosz”, wyd. Biały Kruk, Kraków 2004 r.

O skiążce od wydawcy:



Wspomnienia doprowadzone do ostatnich dni życia Noblisty. Z listów i rozmów, które obejmują niemal pół wieku, wyłania się Miłosz znacznie ciekawszy niż z bardziej lub mniej przychylnych opracowań i biogramów. Korespondencja i osobiste spotkania mówią o nim być może coś więcej nawet niż spuścizna literacka; są kluczem do kolejnych drzwi, za którymi staje prawdziwsza postać Czesława Miłosza. Marek Skwarnicki – znakomity pisarz i tłumacz z kręgów katolickich, w okresie komunistycznym będących enklawą wolności – od ponad pół wieku przyjaźnił się z Czesławem Miłoszem. Jego wspomnienia ukazują całą epokę, w której zapisali się bohaterowie tej książki. Obszernie cytowana korespondencja Miłosza ujawnia wiele jego osobistych sympatii (lub antypatii) oraz rozterki duchowe wielkiego artysty. Marek Skwarnicki towarzyszył mu także w ostatnim czasie, gdy zmagał się on ze śmiertelną chorobą. Wielkim walorem książki są dokumentalne, nieznane fotografie (ponad 60!) m.in. brata Noblisty, Andrzeja oraz Adama Bujaka.

Zdaniem prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego Aleksandra Fiuta książka Marka Skwarnickiego to „książka wyjątkowa, stanowiąca

zapis przyjaźni starego poety z młodym poetą”.

„Ten *Mój Miłosz* powstał z mojego przywiązania do niego, które było wcześniejsze niż poznanie osobiste” – powiedział Marek Skwarnicki, opowiadając o swojej wczesnej fascynacji wierszami Czesława Miłosza z tomu „Ocalenie”. Jak podkreślił, fascynacja ta miała wsparcie w jego przekonaniu o podobieństwie doświadczeń.

Kolejnym etapem znajomości było związanie się Marka Skwarnickiego z „Tygodnikiem Powszechnym”, co sprawiło, że Czesław Miłosz zaczął czytać jego teksty. Dopiero znacznie później, po wymianie listów, doszło do osobistego spotkania obu twórców.

Jak przyznał autor, bezpośrednim impulsem do napisania książki był fakt, że natknął się na informację w Internecie, że jego listy do Miłosza sam poeta zdeponował w archiwum na uniwersytecie w Yale.

„Kiedy po ukończeniu książki spytałem go (Miłosza), jak by określił jej charakter, powiedział: *To jest opowieść o przyjaźni w trudnych czasach starego pisarza z młodszym*” (Marek Skwarnicki w pierwszym rozdziale swojej książki).

Marek Skwarnicki zmarł w Krakowie w 2013 roku.

Dużo roboty z tym papieżem



Bolesław Taborski, fot. arch. rodzinne.

Florian Śmieja

Od momentu sensacyjnego wyboru ks. arcybp. Karola Wojtyły na tron Piotrowy, nie brakowało dziennikarzy, ani pisarzy żądnych nie tylko dostarczania poczytnych tekstów na temat nagle gorący, ale chcących też dowartościować się przez zajmowanie się jego osobą i obcowaniem z niezwykłym człowiekiem na świeczniku. Ale obok szukających anegdot i ciekawostek byli też ludzie poruszeni tą świetlistą postacią, którzy w niej odkryli wzorzec i cel i jej pragnęli służyć. Do nich, sądzę, należy **Bolesław Taborski**, autor książki "Wprost w moje serce uderza droga wszystkich", pięknego hołdu dla życia ciężko chorego już wtedy papieża.

Dwaj emigracyjni pisarze londyńscy położyli szczególne zasługi, by literackie dzieło Jana Pawła II godnie zaprezentować czytelnikowi anglosaskiemu: Jerzy Pietrkiewicz i Bolesław Taborski. Pierwszy, zapewnił sobie wyłączne prawa do przekładania papieskiej poezji na język angielski, drugi, zajął się głównie teatrem.

Pietrkiewicz, wyróżniony honorowym doktoratem swojej uczelni, uniwersytetu w St. Andrews w Szkocji, był uznanym wykładowcą języka i literatury polskiej na Uniwersytecie Londyńskim, polskim poetą i autorem kilku angielskich powieści, drugi – pracownikiem Polskiej Sekcji BBC, debiutującym poetą polskim i

tłumaczem Grahama Greene’a i Roberta Gravesa.

Urodzony w 1927 roku w Toruniu Taborski wziął udział w Powstaniu Warszawskim, a wyzwolony z niemieckiego obozu jenieckiego w Sandbostel w Lubece ukończył polskie liceum. Studia teatrologiczne podjął na angielskim uniwersytecie w Bristolu (1947-1952). Poznałem go, kiedy się zaraz potem przeniósł do Londynu i wnet stał się dynamicznym współredaktorem pism młodych “Merkuriusza Polskiego” i “Kontynentów” (1955-1962). Z czasem został najbardziej płodnym poetą i tłumaczem spośród nas. Był człowiekiem zawsze skromnym, szczodrym i nadzwyczaj uczynnym. Jak nikt inny dbał o interesy kolegów korzystając z nawiązanych w Polsce kontaktów. I to mimo ogromu prac własnych, głównie przekładów, że wymienię tylko Kotta, Przybyszewską czy Grotowskiego i 21 sztuk teatralnych Pintera.



Bolesław Taborski (drugi z lewej) podczas pracy w radio BBC, fot. arch. rodzinne.

Kiedy po polskim Październiku wielu młodych Polaków w dobrej wierze paliło się do akcji, Taborski w ferworze nie pojmowanych do końca sytuacji dawał się ponosić retoryce i zapałowi wrażliwego serca, zapędzał się w krytyce politycznej emigracji i naiwnych akceptacjach reżymowej propagandy, stał się *bete noir* emigracyjnych działaczy. Zraził sobie wśród innych Jana Nowaka Jeziorańskiego, który miał nawet apelować do władz BBC, aby zwolniły go z pracy, czego Anglicy, na szczęście, nie zrobili, uznali jego gestie za nieszkodliwe, a Taborski przepracował w radiu 34 lata i doczekał emerytury.

> Jak wiesz, mam ciężką, nerwową i czasochłonną (jednak bite

> 8 godzin dziennie nie licząc dojazdów) pracę w radiu, a wszystkie zajęcia literackie muszę wykonywać w czasie wolnym

pisał w jednym z dawnych listów. A w innym się skarżył:

> Trzeba się zatopić w pracy, bo jak się za dużo myśli o polskiej sytuacji, to rozpacz człowieka bierze.

W innym jeszcze miejscu wyznał:

> …Wiem chyba najlepiej, że motywami moich działań w tym czasie nie był żal, o to co było w przeszłości, ale troska patriotycznie nastawionego Polaka o przyszłość kraju.

W dużej mierze za artykuły Taborskiego odebrano nam redakcję "Merkuriusza Polskiego", choć do tego trzeba było nawet ingerencji gen. Władysława Andersa. Obawiano się dywersji i niepożądanych kontaktów z PRL-em. Czas robił swoje. Ambiwalentne sygnały ostatecznie straciły wagę, a zakotwiczenie się Taborskiego w obozie Papieskim stało się najpiękniejszym *happy endem* i zwieńczeniem długiej peregrynacji niespokojnego ducha.

> Dokładne zgłębienie życiorysu i twórczości Karola Wojtyły było dla mnie olśnieniem i spowodowało – nie wstydzę się tego wyznać – przełom duchowy.

Tak pisał w swojej biograficznej książce Taborski.



Bolesław Taborski w swoim gabinecie, fot. arch. rodzinne.

A zaczęło się wiele lat wcześniej. W Londynie Taborski sumiennie prowadził pamiętnik, w którym skrupulatnie notował minucje dnia. Kiedy po latach trzeba było ustalić jakąś datę czy

szczegół z życia kulturalnego wojennej emigracji, jego zapiski stały się wiarygodnym, bogatym źródłem wiedzy.

Był on równocześnie jednym z pierwszych młodych emigrantów, którzy odważyli się jeździć do Polski poststalinowskiej narażając się na przykre pomówienia i niesmaczne epitety współemigrantów, choć na szczęście uniknął zaszeregowania go przez SB do swoich współpracowników.

On to pod datą 7 grudnia 1958 roku bawiąc w Krakowie zanotował:

> Po południu przedstawiono mnie mianowanemu niedawno pomocniczemu biskupowi krakowskiemu Karolowi Wojtyle. Elegancki, młody, ma bardzo miły uśmiech. Towarzyszy zjazdowi cały czas, jest przyjacielem „Tygodnika".
>
> Znajomi mówią mi: to bardzo ciekawy człowiek, aktorem był, poetą jest, ba – robotnikiem był, bardzo inteligentny, daleko zajdzie.

Tak zaczęła się fascynacja człowiekiem, który przez bez mała pół wieku związał wyobraźnię Taborskiego. Skoro Pietrkiewicz otrzymał prawa tłumaczenia poezji na angielski, Taborskiemu zaproponowano przekładanie dramatów. Zgodził się, choć

rozumiał, że znano tylko jeden dramat opublikowany: “Przed sklepem jubilera”. Rozpoczęły się usilne poszukiwania rękopisów i maszynopisów po mieszkaniach dawnych przyjaciół papieża. Wespół z wydawnictwem “Znak” udało się zebrać inne teksty. Tylko dramatu “Dawid” nie zdołano dotąd odnaleźć ani przekładu “Edypa” Sofoklesa, którego dokonał Karol Wojtyła dla Juliusza Osterwy.



Kadr z filmu dokumentalnego o Bolesławie Taborskim „Ułamek istnienia” zrealizowanego przez córkę, Annę Taborską.

Taborski zebrał więc, skomentował i przełożył na język angielski

“Hioba”, “Jeremiasza”, Brata naszego Boga”. “Przed sklepem jubilera” oraz “Promieniowanie ojcostwa”. Wydał je w jednym tomie Uniwersytet Kalifornijski w 1987 roku, publikował ponadto pojedyncze sztuki. Rozprawa “Karola Wojtyły dramaturgia wnętrza” wyszła w Lublinie w 1989 roku. Taborski jest ponadto autorem wstępów, przypisów i artykułów naukowych na temat teatru papieża.

Natomiast jego książka “Wprost w moje serce uderza droga wszystkich” z podtytułem “O Karolu Wojtyle – Janie Pawle II – szkice, wspomnienia, wiersze” określa relację osobistą z duchowej wędrówki za wspaniałym i wielkim człowiekiem naszych czasów.

Książka ma cztery części. W pierwszej Taborski komentuje poezję, którą wcześniej objaśniał w radiu przybliżając czytelnikowi te nieproste wiersze dzięki swojej wrażliwości poetyckiej. Traktuje o piętnastu poematach pod nagłówkami “Chrześcijańskie inspiracje” czy “Nauki Polskich Dziejów” albo “Poetyckie medytacje”.

Przytacza też ważne słowa Papieża:

> Inspiracja chrześcijańska nie przestaje być głównym źródłem twórczości polskich artystów. Kultura polska stale płynie

> szerokim nurtem natchnień, mających swe źródło w Ewangelii.

Jakże one kontrastują z arogancją kolegi z londyńskich czasów chcącego uchodzić za naszego guru, który mnie kiedyś karcił za echa ewangeliczne w moich wierszach mówiąc, że to starocie, że dawniej ludzie chodzili do kościoła więc słyszeli Pismo św. Ale dziś?

Kolejna część książki „Dramaturgia wnętrza” zajmuje się teatrem Karola Wojtyły i rozpatruje szerzej poszczególne sztuki.



Kadr z filmu dokumentalnego o Bolesławie Taborskim „Ułamek istnienia” zrealizowanego przez córkę, Annę Taborską.

Trzecia część relacjonuje spotkania z Papieżem od 1958-1997 roku. Spośród anegdot zapamiętałem odezwanie się Papieża do skonfudowanego Bolka wręczającego mu w Rzymie w deszczową pogodę swój przekład Jego sztuki:

> Ale pan ma teraz dużo roboty z tym papieżem.

Wreszcie końcowa partia przynosi wiersze Taborskiego napisane dla Ojca św., bibliografię, indeks osobowy. Tom zdobią rzadkie fotografie.

Autor opowiadał mi w Warszawie, że książka była gotowa przed śmiercią papieża i że On ją jeszcze zobaczył i przesłał mu Swoje błogosławieństwo. Teraz my możemy skorzystać z obfitego kompendium przemyśleń i objaśnień pilnego alumna, napisanych kompetentnie i ciepło.

_____

Bolesław Taborski, Wprost w moje serce uderza droga wszystkich. O Karolu Wojtyle Janie Pawle II szkice, wspomnienia, wiersze. Adam Marszałek, Toruń 2005, str. 402

Film dokumentalny o Bolesławie Taborskim „Ułamek istnienia” zrealizowany przez córkę, Annę Taborską: